AS



Nr. 50
12 GRUDNIA 1937 R.
CENA 40 GROSZY

NA STARCIE DO ZJAZDU

APEL PRZERWANY

FELIKS DANGEL

SZKIC HISTORYCZNY

Oniemiały ze zgrozy, osunął się z siodła Pierwszy Marszałek Francji i salutując, spoglądał z przerażeniem na to, co się działo w łożniaku.

Widział grupę swych towarzyszy broni, którzy tak, jak i on, wyrósłszy z pól bitewnych, w płaszcze odziani, stali opodal ogniska, widział tyłem siedzącego do siebie cesarza i widział szereg sztandarów, które kolejno chyliły się nad płonącym stosem.

Gdy się który pochylił, to ponad ognisko wznosił się pióropusz dymu, w którym, jak gdyby kolebała się wyzwolona bogini zwycięstwa, i słyszał werbel małego dobosza, który skostniałemi od zimna palcami, trzymał pałeczki i powtarzał przy każdej ofierze sztandaru

— Imię Pierwszego Grenadjera Francji de Latour'a niechaj będzie powtarzane przy każdym apelu, a dobosz niechaj odpowie: „Padł na polu chwały".

Płonęły szandary Wielkiej Armji. Już ich nie zdobędzie ani Kutuzow z Cziczygowym, zdążający od Borysowa, ani Czaplic, renegat, zastępujący drogę od Ziębina, ani Wittgenstein.

Nad Berezyną w listopadzie 1812 roku powstawały nowe Termopile.

I widział Marszałek Ney potem twarz Cesarza bladą i kamienną, bo nawet gdy mu się rzucił w ramiona, szczęśliwy z odnalezienia się swego największego Marszałka, twarz ta ani drgnęła. Kamienna, blada, taka zresztą, jaka po dziś spogląda w twarz ludzkości z pod kopuły Inwalidów.

Nieuporządkowane i nie zebrane są po dziś dzień akta największego dramatu dziejów wojennych, trabosu, który dotąd nie miał sobie równych, a którego sceną były ziemie polskie sto dwadzieściapięć lat temu w listopadzie 1812 roku. Jakoś zapomniano i przyproszono niepamięcią największe wydarzenia, najbezprzykładniejsze bohaterstwa i największe koncepcje strategiczne, które powstały właśnie na Wileńszczyźnie w czasie odwrotu.

Pamiętacie ten moment wspaniały ze wspomnień profesora Kossaka, gdy do berlińskiej jego pracowni w czasie malowania „Berezyny" przyszedł Wilhelm II, pozujący i chorujący na uniwersalizm, ten inteligent niemiecki, może po raz pierwszy zrozumiał wielkość tej przeprawy, o której się uczył w szkołach sztabu generalnego, ale której tragizm i wielkość pokazać mu potrafił dopiero polski artysta

Poza obrazowemi i epicznemi faktami z wojen napoleońskich, które przecież historją swą wychować potrafiły dzisiejszych naszych dowódców, których entuzjastą był wielki Samotnik Belwederu Marszałek Piłsudski, istnieje po dziś dzień zachowana cała historja, jak gdyby w geologicznej skamielinie na ziemiach polskich, sięgając odrutowanej granicy sowieckiej, przekraczając ją zresztą aż po Ziembin, błota Berezyny i wieś Studzionkę.

Jeszcze w czasach wojennych, w czasach bohaterskich zmagań się naszej armji z nawałą rosyjską, obserwować można było żywe poprzez wiek zachowane, niesłychanie ciekawe dokumenty berezyńskiego dramatu. Sama wieś Studzionka, leżąca po lewym brzegu Berezyny, posiadała do 1920 roku tę chatę karczemną na małej wyniosłości, która była główną kwaterą armji, w której przez noc zamieszkał Napoleon, a opodal której właściciel folwarku nadbrzeżnego, Rosjanin zresztą rdzenny a wielki entuzjasta Napoleona, postawił własnym sumptem kamienny cokół, na którym wyryć kazał tego rodzaju słowa:

— „Pamiati Imperatora Napoleona i jego chrabrych woinow pagibszych zdieś 1812".

Dokument zaiste dziwny, jak na przedwojenne stosunki rosyjskie, gdyż przecież w oświetleniu historyków rosyjskich, najbardziej urzędowych, urabiających sąd o wojnie napoleońskiej dla potomności, sam Cesarz jak i druga polska jego wojna byli zbrodniarzem i rozbojem, a heroiczne wysiłki końca eposu były podawane jeko targnięcie się bezeczników na „świętą Ruś". — Równie ciekawe były pamiątki, zachowane w pałacu państwa Maurycostwa Potockich w Berezynie, gdzie mogiły żołnierzy napoleońskich, uszeregowane i pieczołowicie zachowywane przez ogrodnika, stanowiły t. zw. „historyczy park", leżący opodal samego miasteczka.

Gdy ludzie starali się zachować pamiątki wielkich wydarzeń, dziwnym zbiegiem okoliczności i natura sama, jak gdyby wbrew wszystkim erozjom, zachowała najcenniejsze pozostałości przeprawy. Od samej Studzionki aż po polski brzeg rzeki, tam, gdzie przywrócono mosty, zachowały się jeszcze po 1920 rok słupy wiązadłowe lichych mostków generała Eblé, które on sam, dając przykład, zniechęconym pontonierom ustawiał, wszedłszy w pełnym mundurze aż po szyję w rzekę płynącą krą.

Cała droga od Berezyny i Studzionki aż po Ziembin, to droga przez żywe, dziś w pamięci tamecznej ludności „campo santo" Wielkiej Armji, która tu wyzbywszy się w czasie przeprawy ostatecznie z sił, ściśnięta kleszczami mrozu, straciła najwięcej. Opodal Ziembina droga historyczna wiedzie już dziś przez teren polski, a o przeprawie tej pisano bardzo wiele, rozpisując się specjalnie o dwóch etapach odwrotu, a mianowicie: o Smorgoniach, gdzie cesarz rozstał się z armją i o Oszmianie, gdzie wziął nową eskortę polskich ułanów, gdyż strzelcy jego gwardji, zabrani ze Smorgoń, wymarzli mu na siodłach w drodze.

Najmniej znanym i uporządkowanym jest ten moment historyczny Wielkiej Armji, gdy ta, doszedłszy do Wilna, rozprzęgła się zupełnie, nie mogąc już sobą stanowić oporu dla Rosjan, dysponujących ciągle nowemi rezerwami i świetnem angielskiem zaopatrzeniem.

Niema omal że w starem Wilnie domu i uliczki, kościoła czy placu, na którymby się nie rozegrała jedna ze scen dantejskich, które przemilczają dziejopisarze.

Wilno zdezorjentowane politycznie i będące podówczas pod wpływem t. zw. „rosyjskiej konjunktury" do strzępów armji napoleońskiej, ustosunkowało się wręcz wrogo, tak jak zresztą z rezerwą niesłychaną witało tę armję tegoż roku w pełni krasy zbrojnej i kolorowej.

Brak wiadomości z frontu, wszędobylska plotka, a wreszcie widok ludzi z obrzękniętemi kończynami od mrozu, bezbronnych, ziejących gorączką i chorobami, bosych i w gałganach, dokonały reszty. Garnących się do ciepła mieszkań żołnierzy, wyrzucano na ulicę, niekiedy nawet nie przez drzwi, ale przez okna, konającym na bruku nie udzielano pomocy, a szczytny wyjątek, w tym skrzepnięciu serc ludzkich, stanowili ojcowie Dominikanie, Bernardyni, kilka rodzin zagranicznych, osiadłych w mieście i profesorowie uniwersytetu.

Konsyljarz Honesti przybiegł z butlą gorącego wina do kwatery księcia Józefa Poniatowskiego (dziś na rogu ulicy Zamkowej, a Bernardyńskiego Zaułku, dom Kapitulny), profesor Frank stał po kolana w amputowanych przez siebie rękach i nogach odmarzniętych, w sali Ratusza, bandażując ziejące krwią rany z braku szarpi w akta magistrackie. Klasztory męskie i żeńskie otworzyły swe podwoje, a cele zakonnicze przemieniły się w sale szpitalne. Gabinet anatomiczny Wszechnicy był centralą orgij. Dopadli go żołnierze zgłodniali, napół obłąkani, pożarli preparaty, zapijając je spirytusem, w których były konserwowane. Ożywiła się tajna giełda, którą zorganizowali żydowinowie opodal „poczty" na ulicy Zawalnej, skupując za kromkę chleba złoto i srebro, klejnoty i złotogłowia, które żołnierz zgodniały wymieniał po cenach nieprawdopodobnych.

W Muzeum Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie, w muzeum najmniej w Polsce znanem, najmniej odwiedzanem, kryją się też bezcenne skarby z tego właśnie okresu. Znalazły tu wieczysty muzealny sen sprasowane pod Frydlandem i Możajskiem kirasy ciężkiej jazdy, miecze proste, jak iglice, lśniące kiedyś złotem chwały epolety, cyfry pułkowe i krzyże. Wszystko to, co wtedy w 1812 roku jak śmiecie, zgarniano po ulicach i zaułkach. Z nowych wykopalisk, dotyczących tej epoki, w czasie prac inwestycyjnych zarządu miasta skatalogowaćby można drugie takie zbiory, gdyż grunt wileński w głębiach swoich jeszcze wiele cennych znalezisk ukrywa, na czoło których wysunąć się musi chociażby takie odkrycie szkieletu artylerzysty napoleońskiego w strzępach munduru i w kasku przy ulicy Wolana. A wieleż legend ciekawych, ileż opowiadań przechowanych po domach! Możnaby napisać z tego dwie księgi — jedną anegdotyczną ze wspomnień, a drugą, stanowiącą bogaty przyczynek do ścisłych badań historycznych nad w ogólnych zresztą zarysach znaną historją tych czasów.

Sama bitwa pod Ponarami, stoczona przez Neya i sześćdziesięciu jego grenadjerów, z masą kozaków Płatowa, zajęłaby wielki rozdział tej barwistej księgi.

— — — — — — — — — — — — —

Podobno nie dokończył ostatniego swego apelu ten mały dobosz z Ponarskich gór. Bezwzględny służbista, nie baczący na warunki, rozkazał Michał Ney stanąć do apelu sześćdziesięciu swym grenadjerom i bić werbel. Chociaż wiedział, że więcej się ich nie naliczy, chociaż wiedział, że wszystko stracone, ceremonjał bitewny musiał być taki, jak pod Austerlitz.

Od Wilczej Łapy sunęły już, jak wilki szare, zagony kozacze i słychać było gwizd bojowy baszkirów, a on kazał powtarzać sakramentalne słowa apelu: „Imię pierwszego grenadjera Francji powtarzane niech będzie przy każdym apelu..."

I wtedy kula kozacza przebija pierś małego dobosza, a z ust jego miast słów, popłynęła struga krwi.

Co listopada też opowiadają zdążający od miasta włościanie, że w szumie bezlistnych gałęzi, w górach Ponarskich słychać jak gdyby łoskot werbla, a od cmentarzyska głos grenadjerskiej warty.

Na apel wspomnień wielkiego bohaterstwa umarłej armji, wołają napoleońscy dobosze.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 50 Niedziela, 12 grudnia 1937 Rok III

ASY NUMERU 50-GO



Wielkie teatry rewjowe na Broadwayu słusznie nazwano „przedpokojami" królestwa X Muzy. Nieraz już bowiem gwiazdy tych music-hallów, a przedewszystkiem słynnych „Ziegfield Follies" wędrowały z firmamentu Broadwayu na nieboskłon Hollywoodu i świeciły na nim czas dłuższy jako wyjątkowo piękne i oryginalne klejnoty konstelacyj filmowych. Ostatnio pojawiła się w królestwie X Muzy nowa gwiazda, którą jest Dorota Mac Nulty, jedna z najznakomitszych tancerek i pieśniarek Broadwayu. Widzimy ją na zdjęciu razem ze słynnym gwiazdorem Williamem Powellem w otoczeniu zespołu jazzowego wytwórni M. G. M.



tnych domów, murów itd., trwały lat osiem i kosztowały 71 miljonów lirów. Należało bowiem zwalić całe dzielnice, zniszczyć gęstą sieć wąskich uliczek, których istnienia dziś niepodobna sobie nawet wyobrazić.

Ale rezultat przeszedł oczekiwania: bez przesady powiedzieć można, że via del Impero jest jedną z najpiękniejszych, a z pewnością imponującą — „avenue" na świecie.

W przyszłości zostanie tu jeszcze wzniesiony „Palazzo Littorio", mający swemi nowoczesnemi a sharmonizowanemi z antyczną architekturą linjami symbolizować erę dzisiejszą i jej łączność z Rzymem starożytnym.

Przekonanie o owej nieprzerwanej łącz-

ocznie" słynne mapy na ścianach Bazyliki Maxencjusza.

Na pierwszej z nich widać Rzym jako maleńki punkcik: Rzym — miasto. Na drugiej, trzeciej i dalszych kolejne podboje: półwyspu Apenińskiego, Grecji Afryki, Galji itd., wreszcie przedostatnia ukazuje Romę u szczytu potęgi, Romę władczynię całego ówczesnego świata.

Teraz z kolei dzisiejsze imperjum: półwysep Apeniński, Libja, Abisynja. Ta „wzrokowa propaganda" jest widocznie skuteczną. W dzień wielkich obchodów 15-lecia marszu na Rzym (28. X. 37), słyszę wieczorem przed wspaniale oświetloną bazyliką rozmowę grupki młodych faszystów.

Na lewo: Symboliczna postać nauki, znajdująca się w mieście uniwersyteckiem w Rzymie
Fot. Vasari — Roma

Poniżej: Stadjon tenisowy na „Foro Mussolini". *Fot. Marja Mikorska*



Roma Mussoliniego

„Tutaj?"

„Si singnorina!".

Wyskakuję z ciasnego pudła taksówki i staję „figée en place" z otwartemi ustami i śmiesznie wyciągniętą ręką. Nie cierpię robić z siebie widowiska, ale teraz jestem ogłuszona wrażeniem.

„Ecco signorina! ecco! bello! molto bello!"

Szofer śmieje się zadowolony. Każdy z nich jest po trochu „guidem". Niechże weźmie prędzej swoje parę lirów i zostawi mnie samą w ogłuszającym gwarze wspaniałej via del Impero.

W ostatnich promieniach słońca rysują się ostro ruiny Forum Nervae, Forum Augustum, Forum Traiani, kolosalne łuki Bazyliki Konstantyna, białe kolumny Forum Romanum, olbrzymie mury Palatynu, ściany Palazzo Senatori na Kapitolu i rozhukane konie bronzowej kwadrygi z pomnika Wiktora Emanuela.

A w górze ponad tą spiętrzoną masą murów, kolumn, łuków, kościelnych wież i pałaców, skrzydlata Nike z pomnika zdaje się unosić w różowem powietrzu zachodu.

Nisko zaś między wydobytemi dziś na światło dzienne antycznemi ruinami, dygoce, drga i tętni życiem ogromna via del Impero, jedna z ruchliwszych arteryj miasta.

I może najbardziej uderzające jest to, że (czem tak bardzo szczycą się w Rzymie), właśnie wśród imponujących momentów Romy starożytnej, bije dziś serce, związanej i złączonej z nią nierozdzielnie Romy współczesnej.

Prace około uwolnienia owego szeregu „imponujących momentów" z pod nadbudowanych w średniowieczu i czasach nowoży-



Projekt „Piazza Imperiale", która wkrótce ma powstać w nowej dzielnicy Wiecznego Miasta. Potężny plan przebudowy Rzymu przewiduje również połączenie go z portem w Ostji.

ności między Italją dzisiejszą a Rzymem Cezarów, propaguje się tu i „wtłacza w głowy", nieustannie, a — przyznać trzeba — genjalnie.

Głoszą to ogromne propagandowe napisy w maleńkich wsiach i miasteczkach, podkreśla świetnie zorganizowana „Mostra Augustea" (2000-lecie Augusta), ukazują „na-

„I pomyśleć — oświadcza niespodziewanie młodzieniec o kolosalnie zjeżonej czuprynie — że taki był wrzask o podbój Abisynji. A przecież prawa nasze są na świecie olbrzymie. Nawet Paryż i Londyn do nas należały!".

Obok ogromnych prac, dążących do usunięcia wszystkiego, co przeciętne, co defi-



Powyżej: Most o długości 220 m. stanowić będzie jedną z najwspanialszych budowli nowego Rzymu.

guruje i szpeci Romę antyczną i Romę średniowieczną, uczyniono również bardzo wiele w celu podniesienia i rozwoju nowoczesnego miasta, wedle słów Mussoliniego: „stworzyć musimy monumentalny Rzym XX wieku. W oczach wszystkich ludów ziemi musi on ukazać się takim, jakim był za czasów Augusta: wspaniały, rozległy, potężny. Usunąć trzeba wszystko, co umniejszałoby wielkość i piękno tysiącletnich pomników naszej historji. Ludowi faszystowskiemu zaś dać musimy pracę, domy, szkoły, łaźnie i tereny sportowe, do których ma prawo".

Realizacja tych zamierzeń, realizacja tzw. „planu regulacyjnego" kosztowała dotąd wedle źródeł oficjalnych, 600 miljonów lirów. (Prócz via del Impero, via dei Trionfi. etc. przeprowadzono ogromne prace koło Circus Maximus, teatru Pompejusza, zwalono całą dzielnicę dla odsłonięcia fasady św. Piotra i t. d. i t. d.).

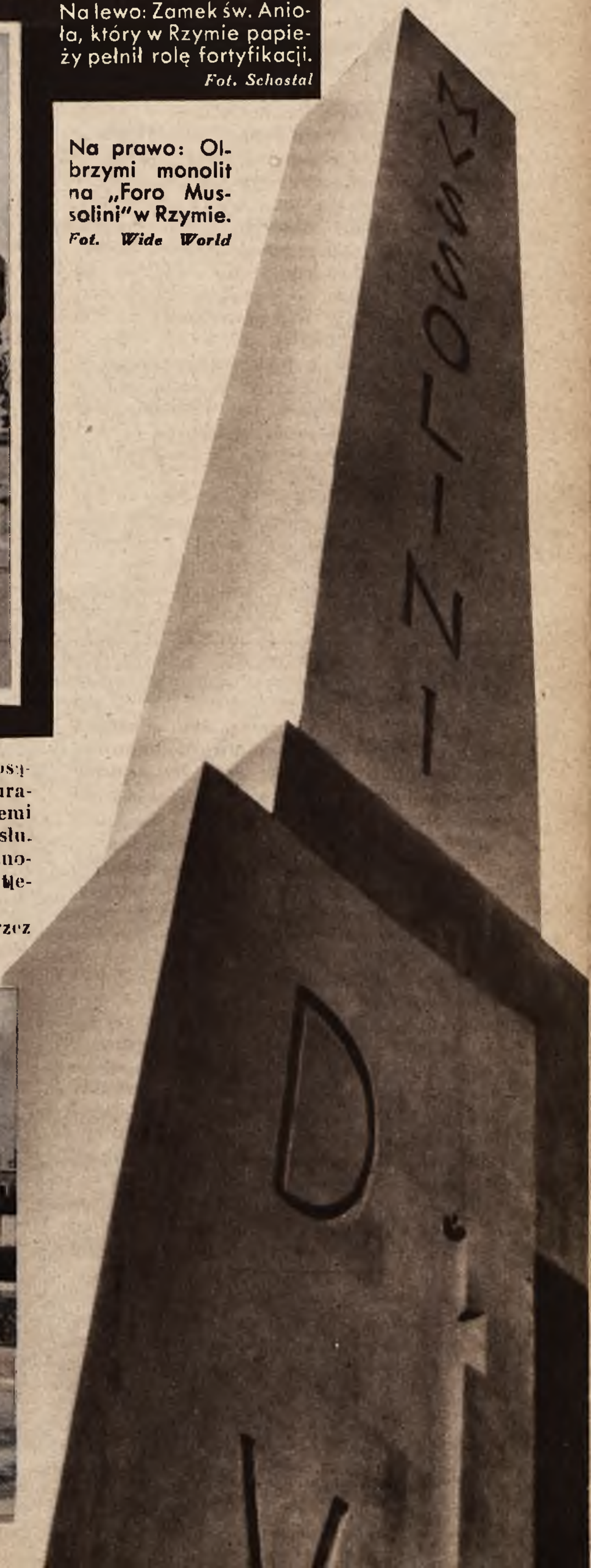
Wśród licznych nowoczesnych dzieł i monumentów, stworzonych przez faszyzm, na specjalną uwagę zasługuje wspaniałe Foro Mussolini. Budowane w ciągu czterech lat (1928—32) obejmuje królewską akademję wychowania fizycznego (Academia fascista), szereg stadjonów, pływalnie etc. etc.

Pękaty „Filobus" przywiózł nas tu poza Ponte Mille i teraz na tle prostych, nowoczesnych budynków i zieleni dalekich wzgórz ukazuje się przed nami biały marmurowy monolit.

„Mussolini Dux" — głoszą światu litery 36-cio metrowego nowoczesnego obelisku. Poprzez rozległe place, na których leży oryginalna, kulista „fontanna della sfera", gdzie wznosi się monumentalny i wyrazisty w swej dziecinnej bucie, pomnik Balilla, zbliżamy się do wielkiego stadjonu.



Na lewo: Zamek św. Anioła, który w Rzymie papieży pełnił rolę fortyfikacji. *Fot. Schostal*



Na prawo: Olbrzymi monolit na „Foro Mussolini" w Rzymie. *Fot. Wide World*

Widać zdala tłum gigantycznych posągów. To ponad zielonym kobiercem murawy, ponad czarną elipsą bieżni i białemi linjami dziesięciu marmurowych stopni, służących za trybuny dla publiczności, wznoszą się dziewięćdziesiąt dwie postacie atletów, kolosy z kararyjskiego marmuru.

Każda z nich ufundowana została przez jedno z prowincjonalnych miast.



Na prawo: „Fontanna della sfera" należy do najciekawszych fragmentów „Foro Mussolini". *Fot. Marja Mikorska*

Nieco dalej leży podobny, choć malenki stadjon tenisowy. Białe marmurowe stopnie zamykają rudy, prostokątami linij pocięty plac, nad którym stróżują posągi atletów.

Istnieje tu jeszcze wielki „Stadio Olimpico", mogący pomieścić 100.000 widzów.

Leżąca w obrębie Foro Mussolini Academia Fascistata, założona w 1928 r., jest świetną wyższą uczelnią wychowania fizycznego.

Właśnie gdy przechodzimy pod sklepieniem bramy, oddział uczniów, przygotowujących się do jakiejś uroczystości, przemaszerowuje w paradnych mundurach.

Młodziutkie, groźnie zmarszczone twarze, zesunięte pod brodę zapinki czapek, przez ramię białe pasy i ładownice, granatowe mundury dziwnie przypominają... podchorążych 30-go roku.

Marja Mikorska.



ETYKIETA

SZKIC HISTORYCZNY napisał HENRYK POTOCKI

Na dworze francuskim, nawet w epoce nieograniczonej władzy królewskiej, istniał czynnik silniejszy od króla — ceremonjał. Każda dziedzina życia dworskiego, każda najdrobniejsza nawet czynność były uregulowane przez ścisłą, wszystko przewidującą etykietę. Wszyscy, poczynając od króla i książąt krwi, a kończąc na służbie dworskiej, musieli się podporządkować przepisom ceremonjału. A nie było to takie proste. Przepisów tych było mnóstwo. Nie chce się wprost wierzyć, że można było je zapamiętać zwłaszcza, że w stosunku do jednej osoby zmieniały się one w zależności od sezonu, miejsca pobytu, pory dnia, rodzaju uroczystości, czy całego szeregu innych czynników. To, do czego miał prawo w pałacu następca tronu, było mu zabronione w Wersalu, a częściowo tylko dozwolone — dajmy na to — w rezydencji brata królewskiego.

Jak te przepisy były uciążliwe, skomplikowane i trudne do zapamiętania, niech świadczy chociażby taka instrukcja, której uczono 7-letniego następcę tronu i której dziecko musiało przestrzegać: „Jeżeli guwerner siedzi przy Delfinie, aby usługiwać mu przy stole, on otrzymuje talerze z rąk podczaszych, daje je Delfinowi, otrzymuje je z powrotem od Delfina, kiedy ten chce je zmienić i zwraca je podczaszym; kiedy zastępca guwernera usługuje do stołu podczas nieobecności guwernera, podczaszowie podają talerze bezpośrednio Delfinowi, a Delfin, zmieniając je, zwraca je następcy guwernera...".

Przepisy ceremonjału powstawały w różnych epokach i z różnych, nieraz błahych powodów. Źródłem ich bywał przypadek, często ambicje i chęć wyróżnienia się pewnych osób, lub rodzin, najczęściej jednak sam panujący.

Zdarzało się nieraz, że przypadkowo król wydawał rozporządzenia sprzeczne z przepisami etykiety; wykonawcy takich rozporządzeń korzystali często z okazji, aby potem przy podobnych okolicznościach, zachować się zgodnie z poprzednio przypadkowo wydanym rozkazem. Jeżeli król nie protestował, powtarzało się to stale i wreszcie stawało się przywilejem danych osób, czy rodzin.

W ten sposób uzyskały niektóre rody prawo przebywania z nakrytą głową w obecności monarchy. Jeszcze za panowania Henryka IV nikt nie miał tego przywileju. Kiedyś jednak zdarzyło się, że Henryk IV po audjencji, udzielonej ambasadorowi hiszpańskiemu, przechodził się z nim i kilku dworzanami po parku. W pewnym momencie król włożył kapelusz; ambasador, zgodnie ze zwyczajami dworu hispańskiego, poszedł za jego przykładem. Król nie okazał niezadowolenia z powodu tego uchybienia, lecz odwrócił się do dworzan, bez zastanowienia wymienił kilku i kazał im również włożyć kapelusze. Wymienieni wykorzystali ten moment, aby przy następnych audjencjach ambasadorów występować również w kapeluszach. Ponieważ król nie okazywał niezadowolenia, zwyczaj ten stał się normą, przywilejem ich rodzin.

Przykładów takich możnaby przytoczyć bardzo wiele. Jednak od panowania Ludwika XIV zdarzały się one coraz rzadziej. Coraz większą rolę w powstawaniu przepisów etykietalnych odgrywać zaczęła świadoma wola króla, celowo tworzącego nowe formy ceremonjału.

Cechą zasadniczą wszystkich przepisów etykietalnych jest ich charakter wyróżniający, podkreślający różnice pomiędzy poszczególnemi szczeblami hierarchji społecznej i dworskiej. Nie można również zapominać o pewnej charakterystycznej współzależności zjawisk. Tak jak z jednej strony przynależność do pewnej klasy społecznej, czy dworskiej dawała prawo do specjalnych przywilejów i uprawnień etykietalnych, tak z drugiej strony korzystanie z pewnych wyróżnień ceremonjału, przywiązanych normalnie wyłącznie do jednej grupy ludzi, nie należąc do niej, pozwalało na sztuczne zbliżenie się do tej grupy.

Nic więc dziwnego, że często, nie mając do tego prawa, próbowano korzystać z przywilejów i zwyczajów etykietalnych, chcąc w ten sposób wyróżnić się z pośród równych sobie urodzeniem, czy stanowiskiem, a zbliżyć się do warstw wyższych. Nie było to łatwe. Jeżeli czasami udawało się zmylić czujność strażników etykiety, to były to tylko sporadyczne wypadki, powtarzaniu się których przeciwdziałał najwyższy kapłan dworskiego ceremonjału — król.

Jednym z takich pożądanych zwyczajów etykiety było prawo do pocałunku członków rodziny panującej przy powitaniach oficjalnych. Zaszczytu tego dostępowali jedynie książęta krwi, członkowie obcych domów panujących, książęta-parowie Francji i książęta zagraniczni. Przywilej ten nęcił swoją ekskluzywnością tych, którzy nie mieli do niego prawa.

Wśród wielu starających się o możność etykietalnego, a tak zaszczytnego pocałunku, znalazła się pani de Béthune, siostra Marysieńki. Skorzystała ona w tym celu z pobytu w Paryżu w r. 1696 swych siostrzeńców, królewiczów Aleksandra i Konstantego Sobieskich. Sobiescy, chociaż podróżujący incognito, zostali przedstawieni u dworu i jako synowie panującego, ucałowali przy powitaniu „Madame" i „Princesse" [2].

Pani de Béthune, zgodnie z nakazami ceremonjału, ucałowała najpierw brzeg sukni Madame, a następnie wbrew etykiecie, nastawiła policzek do pocałowania. Madame, nie zorjentowawszy się i nie przypuszczając, że to podstęp, pocałowała ją. Niestety u Princesse nie poszło równie gładko. Księżna de Lude, dama dworu i opiekunka młodej księżniczki, widząc próbę pani de Béthune, zaprotestowała. Sprawa oparła się o króla. Ludwik XIV uznał stanowisko pani de Lude za słuszne i wyraził żywe niezadowolenie, że Madame dała się zwieść podstępowi i postąpiła wbrew etykiecie.

Podobna historja zdarzyła się dwa lata potem, przy prezentacji żony ambasadora holenderskiego, pani Heemskerke i jej córki. Żona ambasadora, jako osoba utytułowana, po ucałowaniu brzegu sukni księżnej de Bourgogne, nastawiła policzek do pocałunku. Było to zgodne z ceremonjałem. Córka jej nie posiadała jednak tego przywileju. To też kiedy księżna de Bourgogne zobaczyła nastawiony policzek panienki, zawahała się i nie wiedziała jak postąpić. Pani de Lude, zapytana wzrokiem o zdanie, zaczęła kiwać przecząco głową. W tym momencie wystąpił Sainctot, szef protokołu, pchnął lekko skonsternowaną pannę i zapewnił księżnę, że powinna ją pocałować, bo tak się należy. Księżna młoda i niedoświadczona, postąpiła zgodnie z jego radą.

Ta sama scena powtórzyła się u Madame, z tą jednak różnicą, że Madame, ujrzawszy nastawiony policzek cofnęła się gwałtownie, a na uwagę Sainctota, że księżna de Bourgogne pocałowała pannę Heemskerke, głośno powiedziała, że to było głupstwo, które on spowodował i że ona, Madame, nie popełni czegoś podobnego.

Oczywiście doniesiono o całem wydarzeniu królowi, który wezwał Sainctota i w bardzo ostry sposób wyraził mu swoje niezadowolenie.

Charakterystyczna była próba członków francuskiej linji domu lotaryńskiego, uzyskania specjalnej pozycji na dworze — wyższej od rangi książąt-parów. Ceremonjał dworu francuskiego nie robił w zasadzie różnicy między parami a książętami zagranicznymi. I jedni i drudzy postępowali we wszystkich uroczystościach dworskich zaraz za książętami krwi, w kolejności uwarunkowanej starszeństwem tytułu. Książęta Lotaryńscy, przebywający bardzo często na dworze francuskim i których młodsza linja stale mieszkała we Francji, często starali się wysunąć w hierarchji dworskiej i działali zwykle metodą faktów dokonanych. Nieraz za poprzedników Ludwika XIV próby te kończyły się powodzeniem. Ludwik XIV nie lubił jednak faktów dokonanych. Przekonano się o tem z racji skandalu, wywołanego przez księżnę d'Harcourt, członka francuskiej linji domu Lotaryńskiego, w czasie audjencji ambasadara angielskiego u księżny de Bourgogne.

Zgodnie z eykietą na audjencji były obecne damy dworu, które w zależności od pozycji dworskiej siedziały lub stały nieco za księżną, po obu jej stronach. Panie z domu Lotaryńskiego, uważając, że ich pozycja jest wyższa aniżeli innych dam, miały pretensje do prawej strony. Toteż kiedy księżna de Rohan usiadła z prawej strony, zbliżyła się do niej księżna d'Harcourt, wysoka, tęga, obdarzona wielką siłą fizyczną i poprosiła grzecznie o przeniesienie się na lewo. Pani de Rohan równie grzecznie odmówiła, czem wywołała najbardziej nieoczekiwaną reakcję: pani d'Harcourt złapała ją za ramiona, podniosła, okręciła w miejscu, przesunęła na lewą stronę, a sama zajęła jej miejsce. Stało się to na oczach zdumionej księżnej de Bourgogne i wszyskich dam i wywołało słuszne zgorszenie i oburzenie.

Ludwik XIV, poinformowany zaraz o tem niesłychanem wydarzeniu, udzielił krewkiej damie surowej nagany, polecił publicznie przeprosić panią de Rohan i zakomunikował członkom domu Lotaryńskiego, że nie posiadają oni we Francji specjalnych przywilejów, stawiających ich wyżej od książąt-parów.

Jak z powyższych anegdot wynika, król pilnie baczył, aby etykieta była ściśle przestrzegana i nie dopuszczał do jakichkolwiek wykroczeń. Oczywiście zdarzały się wypadki — i było ich napewno bardzo wiele — kiedy pewne uchybienia uchodziły bezkar-

Dokończenie na str. 26-ej

[1]) Anegdoty zaczerpnięte zostały z następujących źródeł: Saint-Simon „Mémoires", Lenôire „Versailles"

[2]) Madame — tytuł zwyczajowy, który nosiła żona brata królewskiego, Princesse — tytuł nadawany przez Ludwika XIV księżniczce sabaudzkiej, narzeczonej wnuka królewskiego, księcia de Bourgogne; używała go aż do ślubu, potem nosiła tytuł księżnej de Bourgogne

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Austrja zrehabilitowała się natychmiast, po trochę słabszej artystycznie serji na „Pomoc Zimowa", wydając trzy znaczki z okazji 100-lecia wprowadzenia komunikacji kolejowej. Są one wspaniałe tak pod względem rysunku, jak i graficznego wykonania i widzimy, że technika druku siatkowego' robi coraz to większe postępy. Przez szkło powiększające widać wyraźnie drobne „oka" tej siatki trudno się zdecydować, któremu rodzajowi druku dać dzisiaj pierwszeństwo: czy klasycznemu sztychowi czy heliograwurze. Ciekawe czy w przyszłości będzie się wydawać znaczki wielokolorowe (systemem trójbarwnym) podobnie, jak się dzisiaj drukuje np. okładkę Światowida.

Na znaczkach reprodukowanych widzimy antyczny „samowarek"(z przed stu lat, „powożony" nie tyle przez maszynistę, co przez woźnicę, bo na to wskazuje wcale foremny cylinder (kolor marki brązowy). Potężny parowóz pociągu pospiesznego pędzi na znaczku za 25 gr. (kolor fioletowy), a wreszcie na znaczku za 35 gr. karminowo-brązowym, widzimy lokomotywę elektryczną. U nas niestety nie moglibyśmy jeszcze wydać znaczka, przedstawiającego taki „instrument", kursujący po polskich szynach.

Format znaczków równa się 37×28 mm; do wartości nominalnej nie pobiera się żadnych



Najnowsza serja znaczków austrjackich, wydana z okazji 100-lecia zaprowadzenia kolei żelaznej w Austrji.

dopłat, tak, że będą one mogły być ozdobą albumów nawet niezamożnych zbieraczy.

W ciągu ostatniego tygodnia ukazały się „tylko" trzy nowe bloczki. Niestety redakcja „Asa" nie chce poświęcić dwóch stron tygodniowo na „Kącik Filatelistyczny" (musiałby on wtedy zresztą zmienić swą nazwę), więc wstrzymamy się z ich reprodukcją tak długo, jak długo w ciągu jednego tygodnia nie ukaże się żaden inny ciekawy znaczek. A więc drodzy Czytelnicy zobaczą bloki Gdańska, Bułgarji i Sowietów chyba tylko w oryginale, albo w dodatkach katologów, bo wykluczonem jest, aby w ciągu kilku najbliższych miesięcy znalazło się u nas miejsce na ich fotografje. Przecież w drodze do „Asa" podróżuje już szwajcarska serja „Pro Juventute", belgijska „przeciwgruźlicza", a w tece czeka swej kolejki cała omal „mitologja" grecka.

Zapowiadamy więc tylko, że ostatnie znaczki, t. zw. magdeburskie ukazały się (w tych samych barwach) w bloku o formacie „Daposty". Zaznaczyć wypada, że pod względem ząbkowania blok ten jest, jak dotychczas unikatem. W Bułgarji wartość za dwa lewy z carem Borysem została powtórzona w kolorze fioletowym w nieząbkowanym bloku, zaopatrzonym napisem 20 l i koroną królewską. Rosja wydała natomiast czworoblok lotniczy, któremu zresztą, jak i blokowi Konga Belgijskiego, nie uważamy za stosowne poświęcić żadnej dalszej wzmianki.

Nowości ostatniego tygodnia są bardzo zajmujące i na pierwsze miejsce wybija się serja włoska. Składa się ona razem z 10 sztuk (każdy wzór powtarza się po dwa razy), o tym samym formacie. Na szczęście nie wydano obecnie znaczków lotniczych, bo i tak do obu ostatnich wartości musimy dopłacać po dwa liry na cel dobroczynny.

Barwy są następujące: 10 c. brązowa, 20 c. różowa, 25 c. zielona, 30 c. brązowa, 50 c. fioletowa, 75 c. karminowa, 1,25 l. niebieska, 1,75 l. pomarańczowa, 2,25 l. zielona i 2,75 l. jasno-brązowa. Pod względem kompozycji ustępują one znaczkom z serji „Augusta", ale trzeba wziąć pod uwagę, że są to tylko reprodukcje starych portretów sławnych artystów.

Stosunkowo dość drogie są w handlu znaczki Gdańska, wydane rzekomo tylko dlatego, że Wolne Miasto bierze udział w wystawie w Magdeburgu. A może chodziło o to, by pokazać, że nad „Danziger Dorf" powiewa dumnie chorągiew hitlerowska!

Cena, jak wspomnieliśmy, jest dość wygórowana (1,60 zł), co znaczy, że pobiera się do wartości nominalnej 100 proc. dopłaty dobroczynnej. Nie uwidoczniono tego jednak ani na wartości na 25 fen. (karminowa, ani na 40 fen. (niebieska, herby miast czerwone).

W księstwie Liechtenstein, regularnie co miesiąc ukazuje się jedna wartość, uzupełniająca normalną serję. Najnowsza wartość za 25 rp. brązowa napewno nie jest już ostatnią i lepiej jeszcze wstrzymać się z układaniem tych znaczków w albumie. Kolor znaczka brązowy, format ten sam, co dla niższych wartości, a sam rysunek mniej ładny, jak w reszcie serji.

Nie można być zanadto złośliwym, ale jeśli w zaprzyjaźnionym z Polską kraju wydano kolosalny blok znaczków (122×151 mm), dlatego, że następca tronu zasłużył sobie na „gradul do sublocotenent", to filateliści należący pod względem usposobienia do pesymistów muszą się zgóry obawiać, że albumy ich zapełnią się całą podobną serją uwidaczniającą szybkie postępy tak sympatycznego „Voewod Michail" na szczeblach hierachji wojskowej. Cena bloku ustaliła się w handlu na trzy złote; w oryginalny sposób zmieniono wartości poszczególnych znaczków, a w niemniej oryginalny, jak przy bloku, lecz tym razem w brzydki sposób wykonano ząbkowanie (systemem linjowym), tak, że na przecięciach dziurki się nie pokrywają. Pochwały godnem jest jednak, że na marginesie umieszczono napisy w kolorze jasno-niebieskim. *Dok. na str. 31*

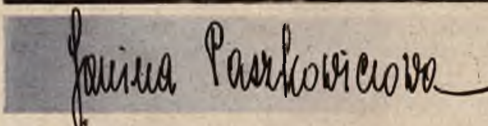


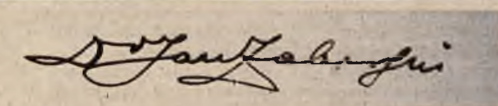
Znaczki polskie ostemplowane pamiątkowym datownikiem ogólnopolskiej Wystawy Radjowej w Bydgoszczy.

CO WIEM o miłości?









A ankiecie naszej wypowiadali się dotychczas przeważnie przedstawiciele literatury i sztuk pięknych, a także ludzie nauki. Czytaliśmy odpowiedzi, będące bądź przejawem własnych przeżyć wypowiadającego się, bądź rezultatem długich rozważań, wkraczających w dziedzinę dociekań filozoficznych. — Wszystkie jednak odpowiedzi — dotyczyły człowieka; mówiły o tem jak, dlaczego kocha człowiek. A przecież miłość wydaje się uczuciem, pojęciem tak obszernem, iż jest zgoła nieprawdopodobnem, by mogła ograniczyć swoje panowanie wyłącznie do człowieka. Chyba cały świat, a nie sam tylko człowiek jest królestwem miłości?

Oczywiście absurdem i niemożliwością byłoby zwrócenie się z pytaniem ankiety do przyrody, do wichrów i błyskawic, do zwierząt i upajających wonią róż. Choć niewątpliwie padłyby tu odpowiedzi porywające swą czystością i nieznaną nam, ludziom, szczerością... Chcąc wiedzieć co o miłości opowie nam przyroda, musimy z konieczności zwrócić się do ludzi, którzy z tą przyrodą obcują i którzy ją rozumieją.

Postanawiamy złożyć wizytę dyrekcji warszawskiego ogrodu zoologicznego i poprosić o wzięcie udziału w ankiecie p. Janinę Paszkowicz, lekarza weterynarji, oraz dra Jana Żabińskiego, dyrektora tegoż ogrodu.

Oto co mówią nowi uczestnicy naszej ankiety:

21. Janina Paszkowicz.

— Czy można w przyrodzie odnaleźć uczucie — zapytujemy młodą lekarkę — któreby odpowiadało naszym, ludzkim, pojęciom miłości?

— Ależ oczywiście — odpowiada p. Paszkowicz. — Niema przecież piękniejszej miłości nad tę, którą rodzi macierzyństwo. W przyrodzie, mówmy ściślej wśród zwierząt, bo z temi przeważnie obcuję jako lekarz weterynarji, macierzyństwo i wszelkie uczucia z niem związane, są bardzo wysoko rozwinięte. I to tak dalece, że w grę wchodzi nietylko sama miłość matki do dziecka, ale wogóle cały system uczuć rodzinnych, który rozwija się na tle posiadanego wspólnego potomstwa.

— Czyżby w świecie zwierzęcym i ojciec obdarzał uczuciami swe potomstwo?

— Naturalnie, i to nieraz w wielkim stopniu. Mieliśmy niedawno w naszym Ogrodzie Zoologicznym ciekawe zdarzenie, popierające tę właśnie tezę. Oto pewna małpka, mająca swe własne dziecko, wykradła innej małpce jej dziecko i postanowiła chować obydwie razem. Oczywiście „prawowita" matka zaprotestowała przeciwko temu, lecz wtedy zjawiła się niespodziewanie interwencja... samca, który poparł stanowisko pierwszej. Oboje potłukli dotkliwie matkę „prawowitą", zmuszając ją do uległości i zgody. Od tej chwili samiec przyjął również na siebie część kłopotów wychowywania dzieci. Pomagał samiczce nosić jedno z dzieci, a gdy było zimno, zabierał wogóle matce jedno z maleństw i ogrzewał je własnem ciałem. Był również inny wypadek, świadczący o tem, że uczucia nie zawsze są zwierzętom „wrodzone", lecz że budzą się w nich, i rozwijają. Oto nasza słonica, Kasia, urodziła małe słoniątko popularną i lubianą „Tuzinkę". Było to jej pierwsze dziecko i Kasia początkowo nie zdawała sobie wogóle sprawy co się stało. Bała się swej córeczki i nie chciała jej karmić. Dopiero z biegiem czasu zrozumiała co to jest miłość matki. Teraz jest już idealną, niemal wprost „histeryczną" matką. Gdy kiedyś przeprowadzono Tuzinkę na jakiś czas do innego pomieszczenia, Kasia wyłamała żelazne sztaby przegrodzenia, byleby znaleźć się w pobliżu swej ukochanej.

— Przypuszczam — mówię — że to wzbudzenie uczuć u słonicy poniekąd jest zasługą człowieka?

— Człowiek — słyszę odpowiedź — wpływa niestety... deprawująco na uczucia macierzyńskie u zwierząt. Zanik instynktów macierzyńskich i rodzinnych obserwujemy u wszystkich tych zwierząt, które chowają się przy człowieku, u zwierząt domowych zwłaszcza, przebywających w warunkach nienormalnych i rozpieszczanych. I przeciwnie, śmiało to mogę powiedzieć — kończy p. Paszkowicz, iż kobiety nieraz mogłyby się wprost uczyć uczucia macierzyństwa od zwierząt, wśród których wszystkie matki są przeważnie mądre i rozsądne...

22. Dr Jan Żabiński.

Obecny przy naszej rozmowie p. dr Żabiński rozszerzył omawiany przez nas temat jeszcze bardziej, ujmując zagadnienie ze stanowiska wprost ogólno-ludzkiego.

— Ludzie w swej pysze — mówił dr Żabiński — uważają, że są najwyższym wykwitem świata żywego kuli ziemskiej, i że zwierzęta są ich młodszymi, mniej doskonałymi braćmi. Zarówno jednak biblja, jak i nauki paleontologiczne wskazują na to, iż jeśli zwierzęta są może mniej doskonałymi stworzeniami, to jednak od człowieka są o wiele starszymi. Bóg stworzył najpierw zwierzęta, potem człowieka.

— Ludzie jednak zbudowali życie psychiczne! — próbuję bronić rodu ludzkiego.

— I z tego człowiek nie może być dumnym — odpowiada dr Żabiński — przynajmniej w dziedzinie objętej ankietą. Wszystko co człowiek wymyślił, bądź wyczarował w dziedzinie miłości, od tej najbardziej czystej, subtelnej, do jaknajbardziej perwersyjnej, nie jest obce światu zwierzęcemu!

— Czy mógłby pan doktór poprzeć swą tezę przykładami?

— Bardzo chętnie. Weźmiemy więc kwestję supremacji męża nad żoną, na co tak skarżą się nasze feministki. Odpowiedniki znajdziemy u wielbłądów, słoni, a przedewszystkiem małp; u słoni pan i władca waleniem trąbą, poszturkiwaniem kłami, gryzieniem, zmusza swoją małżonkę do uległości. Mówiąc o małpach nasuwa się odrazu porównanie z haremem, przyczem u małp jest on nawet... lepiej zorganizowany niż u ludzi. Małżonek nie ucieka się tutaj do pomocy najemnych eunuchów, lecz własną władzą i siłą umie utrzymać w należytych

(dokończenie na str. 31-ej.)

KONGRES TAŃCZY

HANNA KŁOSIŃSKA

SZKIC

Toaleta ich cesarskich mości trwa za długo i znudzony czeka pan Beethoven, on, który nigdy na nikogo nie czekał. A jednak przyszły takie wyjątkowe dla Europy chwile, w których i pan Beethoven od zwyczajów swoich odstąpić musiał... Zresztą — było dla kogo. Ten car pełen osobistych wdzięków i niepowszedniej gracji, mistyk, poeta, szalony filozof i „anioł pokoju", jak go zwał zachwycony Wiedeń, ten car wyrósł w ciągu ostatnich godzin na wielkiego człowieka, w którego wypieszczonych dłoniach leżała przyszłość narodów.

Aleksander Pawłowicz, uważany doniedawna za napół barbarzyńcę i dzikusa, którego ledwie tolerowano na europejskich dworach, car Wszech Rosji i przyszły król Polski, pokonał Napoleona. Obiecywał pokój światu. I wszystko wskazywało na to, że obietnicy dotrzyma.

Czeka cierpliwie Ludwik van Beethoven z wykonaniem swojej „Księżycowej Sonaty", aby ją zagrać Najjaśniejszym uszom. A potem osobiście będzie dyrygował orkiestrą, wykonującą kantaty, a potem jeszcze nakaże pałeczką zalotny, kołyszący rytm wiedeńskiego walca, aby na lśniących parkietach mógł rozegrać ostatni akt zalotnej strategji Pan Najjaśniejszy, Aleksander z Bożej Łaski, pan połowy świata.

Szczerozłote sanki wiozły przez Wiedeń Imperatora, witało go tysiąc strzałów armatnich. Przywiózł ze sobą dwie urocze siostry, brata, wielkiego księcia Konstantego, żonę cudownie piękną i niemniej uroczą kochankę hrabinę Marję Naryszkin, z domu Księżniczkę Czetwertyńską.

Stanowiąc o losach Europy — kongres tańczył. Cesarz Franciszek prawdziwie po królewsku podejmował swoich gości, urządzając dla nich bajeczne festyny i bale. Zjeżdżała się na nie szlachta wszystkich krajów, uprzęże koni i czapraki kapały od złota i klejnotów, kobiety zjawiały się na salach balowych, obsypane diamentami.

Monarchowie i ministrowie szczęśliwi, że zwlókł się z mapy Europy cień genjalnego parwenjusza Napoleona Bonaparte, oddawali się szczęściu i marzeniom o złotej wolności.

Lekkomyślnie przyjął na swoje ramiona troskę o losy świata — Aleksander Pawłowicz. Zdawało mu się, że zwycięstwa odniesione przy pomocy czarujących uśmiechów i giętkich manier, będą trwałe i nieśmiertelne. Bo o nieśmiertelności marzył namiętnie ten czarodziej i danser z nad Newy.

Car był pięknym mężczyzną i dbał bardzo o podtrzymanie tej sławy u Wiedenek. Nic zatem dziwnego, że pan Beethoven tak długo czekać musiał. Czterech lokajów trzymało białe generalskie, obcisłe spodnie, a czterech podnosiło Najjaśniejszego Pana pod ramiona wgórę, skąd zręcznym susem skakał w swoje „culottes de peau". Spodnie leżały jak ulane na smukłych nogach i wąskich biodrach Jego Majestatu. Frak w kanarkowej barwie i kamizelka nieokreślonego koloru dopełniały stroju, którego elegancję podnosił blask brylantowych gwiazd orderów.

W gotowalni Carowa Elżbieta czesze własnoręcznie śliczne, jasno-popielate warkocze, stanowiące chwałę jej urody. Melancholijny wdzięk jej postaci podkreśla błękitna, wcięta w pasie suknia. Rzadkiej piękności, smutne, marzące oczy olśniewają najczystszym lazurem. Jak zawsze cesarzowa ubiera się skromnie i tylko perły dodają blasku jej smutnej urodzie. Długie chwile poświęca studjowaniu zapachów. Pokojówki podają jej coraz to inne kryształowe flakoniki z pachnidłami. Najjaśniejsza Pani decyduje się wreszcie na mieszaninę bzów, lawendy i konwalji, które mają zapach miłości, przeżytej przed laty dwudziestu...

— Natasza — pyta zaufanej pokojowej — powiedz, czy ja się bardzo zmieniłam od tego czasu?

— Lata były łaskawe dla Najjaśniejszej Pani, czas o Niej zapomniał.

— Czy ty prawdę mówisz, Natasza?

— Mam świadka — lustro. Czy Najjaśniejsza Pani mu nie wierzy?

— Lustro? Jego oczy — to będzie moje lustro. Tak mi spieszno w nim się przejrzeć.

Kiedy car wchodzi do gotowalni, by zaprowadzić żonę na salę balową, carowa przyjmuje ramię męża, ale nie widzi go wcale.

Szmer zachwytu biegnie przez salę. Towarzyszy on carowej wszędzie, gdzie się pojawi. Uważana jest powszechnie za najpiękniejszą kobietę Europy. Tylko mąż nie uległ jej jasnym czarom. Aleksander Pawłowicz, „tancerz elastyczny", nie znalazł dla niej czasu i galanterji, ile go miał dla każdej dziewczyny z Prateru. Ślizgał się po parkietach, w zawrotnych piruetach, zmuszając tancerki do czterdziestu ukłonów w jednym tańcu i „każdej danserce Polskę obiecywał". Carowa zaś pozostała sama niezrozumiana, zapomniana. Gorzej — niekochana.

Ależ, czy ten car, samodzierżca wszechwładny, bohater świata, bożyszcze kobiet, czy on się liczył wogóle? Czy jej było potrzebne do szczęścia, by się przeglądać w najjaśniejszych oczach?

Ludwik van Beethoven odpowiada za carycę. Opowiada w srebrnych preludach, w spływających po klawjaturze kryształowych łzach, o tem, co się zdarzyło w 1795 roku w Taurydzkim pałacu, kiedy to młodziutka wielka księżna, biegła przez aleje strzyżone, po ścieżkach wysypanych kolorowym piaskiem na spotkanie kogoś ogromnie miłego, kto ją „pasjami kochał".

Klawisze fortepianu szeleszczą, jak piasek na ścieżce, po której biegnie miłość. Szumią brzozy zielonem wspomnieniem. Ludwik van Beethoven pociesza carową słodyczą melodji, która zbiega się w szept: „Jak było opowiem, opowiem...".

Po dwudziestu latach miała go ujrzeć znowu. Od tygodni czekała na niego w Wiedniu. Serce jej mówiło, że dziś, właśnie dziś...

Drży, jak motyl, trzymany w dłoniach wachlarz. Na wachlarzu malowane kwiaty

zdają się rozkwitać i pochylają się nad zadumą carowej, jak współczująca gałąź jabłoni. Oficer w głębokim ukłonie pochyla się nad ręką carowej. Pani zwraca na niego pełne wiosny oczy, oficer nie przywykły do takich spojrzeń, ściąga ze zdziwieniem brwi. Konstanty. Brat cara. No, tak, ten nie uznaje sentymentów i niewiadomo, czy kiedy patrzył na gałąź jabłoni.

Pozwoliwszy sobie na hołd wobec bratowej, Konstanty, stoi teraz wyprostowany jak struna, za krzesłem swego dostojnego brata, przejęty rolą pierwszego adjutanta. Spełnianie tego obowiązku było jego największą przyjemnością. Pełni swą służbę tak wzorowo, że nie drgnie ani jeden muskuł w szerokiej dzikiej twarzy, że nie zwichrzy się w uniesieniu ruda czupryna, nie zaćmią się oczy, ani nie zbiegną jasne, prawie białe brwi. Fala muzyki i fala poezji, naprożno bije o tę sołdacką, nieugiętą pierś. Podobno Aleksander ma zamiar zamianować brata głównodowodzącym sił polskich. Prosto z Wiednia carewicz pojedzie do Polski. Do Polski, skąd...

Bije serce carowej. Biją dzwony w muzyce Beethovena, która cała opływa melodją, jak krwią i staje się jednem wielkiem, rozkołysanem sercem.

Ostatnie uderzenie rozpływa się po fortepianie, jak płacz i wtedy właśnie staje ktoś obok carowej. Nie śmie mu spojrzeć w oczy, choć na niego czekała.

Najjaśniejsze ręce biją oklask dla genjalnego wirtuoza.

Carowa opuszcza krzesła. Porusza się, jak we śnie, wita się, odbiera hołdy, słyszy koło siebie szmer komplementów, od których każdej kobiecie zawróciłaby się głowa, ale ani jednem spojrzeniem nie zaszczyca Księcia Adama Czartoryskiego, choć tęsknota pcha ją nieodwołalnie w jego stronę.

A może boi się ujrzeć zmarszczki na twarzy, którą ostatni raz widziała w całej chwale młodości, może obawia się, że miłość jej nie przetrzyma widoku siwizny na głowie, którą pamięta dumną i młodzieńczą.

Książę Adam ma lat 45, carowa lat 40. Nie widzieli się od 1795 roku. Dzieli ich i łączy dwadzieścia lat tęsknoty, dwadzieścia wieków.

Zaczęły się tańce. Na lśniących parkietach tańczył Aleksander z śliczną Luizą pruską. Z zapartym oddechem śledzili uroczą parę królowie świata. Księżniczka jest młodziutka, czarodziejska, wiotka, ale cóż to może obchodzić Elżbietę?

Car zmienił danserkę i w czarujących zwrotach tanecznych pokazuje wielkiemu światu kochankę, cudownie piękną, Marję Naryszkin.

Tańczą swój taniec miłosny na oczach całej sali. Złączeni ramionami, oczami, duszą.

Carowa patrzy bez żalu. Nie obchodzi ją człowiek, który w tej chwili interesuje całą Europę, którego każdy krok powitany jest natychmiast służalczym szmerem zachwytu, którego każdy ruch jest komentowany, jak zdarzenie o dziejowej doniosłości.

Inny ją prosi do tańca. Nie widząc go pozwala się objąć ramionami, nie otwierając oczu płynie w objęciach, tak dobrze znanych, zapamiętanych, niezapomnianych...

— Najjaśniejsza Pani piękniejsza jeszcze niż dawniej, Najjaśniejsza Pani kochana, tak jak dawniej, Najjaśniejsza Pani niezmieniona?

— Niezmieniona, książę.

Po raz pierwszy patrzy mu w oczy, a w jej szafirowych źrenicach zbiegła się cała dusza.

A równocześnie mężczyzna myśli szybko, unosząc ją w ramionach:

„Tu ją widzę zmienioną mocno, ale ze strony jej i moich uczuć zawsze tę samą. Utraciły swój żar, dosyć jednak siły zachowały, aby było wielką męczarnią nie widzieć jej wcale".

Kongres tańczy...

A oni idą aleją strzyżoną, po ścieżce wysypanej kolorowym żwirem... A „tancerz elastyczny" zatacza koło nich zaczarowany krąg piruetu, tak blisko, że z lotnych sukien Marji Naryszkin napływa fala oszałamiającego zapachu.

— Anioł pokoju — szepcze lekceważąco carowa, śledząc oczyma pełną gracji postać męża.

— Tylko bez skrzydeł — odpowiada Czartoryski z goryczą — a chciałem mu je dać. Pamiętasz Elżbieto? Uczyłem go Polski napamięć w naszych młodych latach. Gdyby cesarz był słowa dotrzymał, miłość mojego Narodu byłaby mu skrzydłami. Do odegrania bohaterskiej roli tylko skrzydeł potrzebował.

Zanim walc dobiegł końca, popłoch wszczął się na sali. Kulejąc, wykrzywiony szyderczo, pokraczny i sataniczny, biegł przez szeregi tańczących minister spraw zagranicznych Francji — Talleyrand!

Podał depeszę cesarzowi Franciszkowi. Zatrzymali się w tańcu królowie. Pobladli strojni oficerzy. Położył na pulpicie pałeczkę dyrygenta Ludwik van Beethoven. Zapomniawszy o galanterji pozostawił Aleksander na środku sali przerażoną Marję Naryszkin. Na sali balowej wydano dyspozycje specjalnym kurjerom, którzy mieli nieść rozkaz odwrotu dla armji, zdążających każda do swojego kraju.

Napoleon uciekł z Elby i wylądował na wybrzeżach Francji!

„Dnia tego — jak świadczą współcześni — monarchowie i ministrowie położyli się do snu z kapeluszami na głowie i szpadami przy boku, tak wielkie było przerażenie".

Dnia tego w pośpiechu i smutku pożegnał Czartoryski ukochaną młodości. Tym razem na zawsze. Pora była zbyt niebezpieczna, by nawiązywać błękitne romanse.

— — — — — — — — —

Aleksander wjeżdżał do Warszawy iluminowanej rzęsiście. Zdobywał sobie serca wstępnym bojem i giętkością gładysza, który Polakom prawił narodowe komplementy z równie czarującym wdziękiem, jak paniom dusery. A polskie panie chciały go witać chlebem i solą u bram stolicy, przebrane za bóstwa słowiańskie. Niewiadomo czemu zaniechały tego malowniczego planu.

Proklamacja teatralnego cara na króla polskiego odbyła się również w teatrze. Podczas antraktu zawołał Nowosilcow: Niech żyje król polski! I od parteru aż do lóż zgodna polityczna klaka biła prawo. Aleksander z kurtuazją oświadczył, że uważa odbudowanie powierzonego sobie kraju za najpiękniejszy tytuł do nieśmiertelności. Składając tę wiekopomną deklarację, ubrany był w mundur generała wojsk polskich i przepasany wstęgą orderu Orła Białego. Czegóż więcej potrzeba było sercom, spragnionym wolności? Sercom ludzi, których zawiódł i rozczarował Napoleon?

Car rozdawał łaski i tańczył na balach, zyskując coraz większy aplauz nawet w najsurowszych oczach, jako, że najbystrzejsze oczy źle widzą, gdy patrzą przez łzy.

Nawet bale dziecinne raczył zaszczycać swoją obecnością. I tam to sprezentowano mu cudowne dziecko Warszawy, mówiące wierszami, dziecko, które do chrztu trzymała pani Walewska, a król rzymski, mały książę Reichstadtu adjutantem swym mianować raczył. Zaledwie wczoraj car udekorował ojca małego adjutanta gwiazdą brylantową orderu św. Stanisława, gwiazdą wartości 15.000 rubli. Malec jednak więcej sobie cenił szabelkę, jaką mu przysłał w darze syn Napoleona, niż carskie ordery. Proszony o wiersze, patrząc nieugięcie w oczy Imperatora, wydeklamował:

— Ty, śpisz Brutusie, a Rzym w niewoli.

Wytworne panie omało nie zemdlały, a ministrowie byli bliscy ataku apoplektycznego.

Car i poeta stali naprzeciw siebie, patrząc na siebie z nienawiścią śmiertelnych wrogów.

Jenerał Wincenty Krasiński starał się tłumaczyć syna, ale czynił to niezręcznie.

— Wybacz Najjaśniejszy Panie, dziecko nie rozumie słów, które mówi.

— Mylisz się jenerale, żyjemy w niebezpiecznym czasie, kiedy dzieci dorastają w godzinie. Mam nadzieję, że nie jest to ostatnia wojna, jaką wydałeś Rosji, hrabio Zygmuncie.

To mówiąc, car uśmiechnął się do dziecka. A hrabia Zygmunt odpowiedział równie nienawistnym uśmiechem. Skłonił się głęboko, aż zabrzękła szabelka, podarunek syna Napoleona.

— Jestem synem żołnierza Najjaśniejszy Panie, kocham wojnę.

— Życzę, byś ją zawsze wygrywał w wierszach. A ileż lat życia liczysz sobie adjutancie króla rzymskiego?

— Cztery, skończyłem.

— Wobec tego jesteś w wieku, w którym ci jeszcze tańczyć wolno. Tańcz póki cię los nie powoła do innych przeznaczeń.

Dzieciak skłonił się i wmieszał w tłum tańczących. Po chwili wysunął się na czoło, prowadząc menueta z malutką Lubomirską. Tańczył z gracją i wdziękiem, która już w dziecku zapowiadała przyszłego lwa salonów i arbitra elegantiarium.

— Winszuję syna, generale — powiedział car uszczęśliwionemu ojcu — odwaga, męstwo, rozum i piękność przeznaczają go na wodza, bohatera i poetę. Należy tylko żałować, że urodził się w nieodpowiednim dla siebie czasie. Pomyśl, kimby został w epoce Renesansu! Zmarnuje się w Polsce.

Raz jeszcze mylił się Imperator.

Zygmunt Krasiński nie zmarnował się w Polsce...

. . . .

Księżna Pani choruje już od dłuższego czasu. Księżna Pani czuje się źle i kaprysi. Sztab najznakomitszych lekarzy leczy dostojną melancholję. Jest wśród nich i bawiący w przejeździe lekarz króla pruskiego. — Wszyscy radzą wyjazd do wód w Ems i zmianę otoczenia, bo duszno robi się w Warszawie. Dyskretnie śmieją się złośliwi, że księżnę panią uleczyć mogą tylko wody Newy. Wiadomo przecież powszechnie, że kokietowała cesarskiego szwagra, by sobie zapewnić względy u dworu. Car poddał się urokom bratowej, ale odmówił Księżnie Łowickiej prawa przebywania w Petersburgu.

Więc piękna pani choruje. Długo i wytrwale. Nie wie, że w kraju przygotowuje się rebelja. Nie słychać w Belwederze, jak bunt wrze w podziemiach. Do przyćmionej sypialni nie dochodzą głosy gawiedzi. — W przystępie rozstroju nerwowego rzuca się na miękkiem łożu Joanna Grudzińska. Nikt jej nie powiedział, że na murach Warszawy tajemnicza ręka rozlepiła afisze: Od nowego roku Belweder do wynajęcia! Obawia się tylko jednego: obłąkania, które zdarzało się w jej rodzinie.

Wielki Książę Konstanty leczy żonę wspomnieniami. Jakby jej odczytywał pamiętnik najpiękniejszej podróży, którą odbyli razem zagranicę, w kilka miesięcy po ślubie. Zatrzymuje się dłużej na herbami znaczonej karcie, na której zapisany jest pobyt w Koblencji, gdzie Księżna Orleańska i król Wirtemberski podejmowali Joannę, jak księżnę krwi.

Szalony, dziki żołdak o drapieżnej duszy i łaknącym krwi sercu, który tak często i okrutnie znieważał oficerów polskich, że odbierali sobie życie, nie mogąc przeboleć hańby, brutal, wyrafinowany cynik, bohater skandalów, klęczał, jak paź u stóp Joanny, opowiadając jej bajki do snu, kiedy bunt ogarniał Warszawę.

Czułe i delikatne ręce polskiej kobiety trzymały w swej władzy dziką duszę satrapy. Wiele mogła zrobić dla swej nieszczęśliwej Ojczyzny żona Wielkiego Księcia, wiele trudnych i zawiłych rzeczy, którym nie mogli podołać politycy. Ale nie przyszło jej nigdy na myśl, by zapytać, jak jej mąż postępuje z narodem i armją, której honor mu powierzono. A może bała się pytać? Była miękką, subtelną, uczuciową kobietą, nie

przeznaczoną do wielkich celów, tylko do kochania. Aa kochać, kochała go bardzo.

Zazdrość o jego przeszłość przesłoniła jej teraźniejsze życie. Pożerał ją smutek. Pamiętała ciągle o tem, że ten zakochany w niej Konstanty, kochał , kiedyś z równą siłą, a większą egzaltacją Helenę Lubomirską, córkę Ludwiki Sosnowskiej, ukochanej Kościuszki. Do dziś niepokoiła Joannę piękność księżniczki Heleny, panny mądrej, wykształconej, która malowała, grała, pisała wiersze francuskie, a przedewszystkiem tańczyła ślicznie modny taniec z szalem. Wytańczyła sobie trwałe miejsce w sercu Konstantego. Oczarowany następca tronu rosyjskiego i wnuk carycy Katarzyny, która dokonała rozbiorów Polski — kazał się Orłowskiemu sportretować w stroju... kościuszkowskiego kosyniera i portret ten posłał księżniczce.

Wiadomo również było Joannie, że kiedyś chętnie byłby się zrzekł tronu dla Żanety Czetwertyńskiej, że porywał kobiety z balu, że oficera, który tańczył z upatrzoną przez niego tancerką odesłał na odwach, rzekomo za źle włożony kapelusz...

Zmęczona zazdrością nie ma sił księżna pani, by uczyć męża sprawiedliwości i sztuki rządzenia ojczystym krajem. Zadowolona jest, że Konstanty zamiast porywać kobiety z balów, bawi się wojskiem, jak mały chłopiec, który na gwiazdkę otrzymał kilka pułków aluminjowej piechoty i żaleznej kawalerji.

Niech się bawi... A że się bawi okrutnie, nie mówią Joannie. Nietylko przez zazdrość zabronił Konstanty żonie odwiedzania przyjaciół i przejażdżek po Warszawie, nietylko przez zazdrość nie urządził w Belwederze ani jednego balu, ani obiadu galowego. Raz na Wielkanoc przyjmował u siebie oficerów gwardji, a i to przyjęcie nie trwało dłużej, jak godzinę. Dla pośpiechu goście jedli stojąc.

Żaneta tłumaczyła sobie to po kobiecemu, że lubiał samotność we dwoje. Wielki Książę pozostawiał jej złudzenia.

Życie w Belwederze płynęło po mieszczańsku. W domu książę chodził w filcowych pantoflach, w zniszczonym uniformie, czytywał książki, palił cygara. Lubił polityczne dysputy, rozmowy o prawie i wiersze greckie. W oczach Joanny był wielkim wodzem, nieledwie bohaterem. A że ten „bohater", mimo brzydkiego, spłaszczonego nosa, małych, dzikich, oprawionych w białe rzęsy oczu, zbudowany był jak posąg, miał świeżą cerę i prześliczne zęby, odsłaniane rzadko, zato w porywającym uśmiechu, cóż dziwnego, że Żanetka zapominała przy nim o Polsce, ba, o całym świecie?

Spokojnie mijają w Belwederze dni listopadowe. Zwłaszcza odkąd księżna pani pozdrowiała na tyle, że wieczorami zasiada do obiadów razem z resztą domowników.

Po obiedzie na herbatę przechodzą wszyscy do salonu, urządzonego jak całe mieszkanie księstwa z mieszczańską prostotą. Jest to pokój czworokątny, umeblowany sprzętami z drzewa orzechowego i wiśniowego, z pół okrągłą niszą, w której znajduje się kanapa i lampa stojąca, a przed kanapą stół. Olbrzymi lokaj, były kirasjer roznosi herbatę, a mały Grek, którego Konstanty znalazł po drodze z wyprawy tureckiej, podaje ciastka. Wielki Książę czyta gazety, wypróżniając jedną za drugą filiżankę herbaty, nie patrząc na obecnych, czasem tylko zniecierpliwiony szmerem rozmów marszczy brwi, albo woła w stronę żony:

— Ucisz się moja kochana, nieznośna z ciebie kobieta.

Nieznośna kobieta milczy, uśmiechając się tajemniczo do swoich myśli i haftów. Nie nadługo zresztą. Czeka tylko sposobnej chwili, by okazać mężowi niełaskę. W salonie Wielki Książę jest zaledwie tolerowany. Pali cygara, których zapachu księżna pani nie znosi, sypie konceptami, na które wzdraga się cała subtelna, wyrafinowana duszyczka pani.

Pani cytuje filozofów i interesuje się metafizyką i zjawiskami nadprzyrodzonemi. Konstanty nie ma dla tych rzeczy zrozumienia, więc pani szuka do rozmowy innych partnerów.

Do salonu mają wstęp tylko uprzywilejowani: Francuz hrabia de Moriolles, guwerner dzieci książęcych, profesor Fawicki i hr. Iliński. Fawicki — napół warjat, wskutek przeżyć tragicznych, hrabia Iliński — dziwak i fantasta, asceta i rozpustnik, birbant i hulaka, zmieniony pod wpływem Jezuitów w Tartuffa, co rano komunikuje się i leży krzyżem w kościele, a co wieczór wykłada Joannie tajemnice magnetyzmu i jasnowidzenia.

Egzaltowana natura Joanny poddaje się bez protestu wpływom otoczenia. Mimo próśb męża, księżna, spędza większość dnia w szpitalach, albo też godzinami całemi klęczy w ponurej kaplicy Belwederu, z której wilgotnych murów woda się sączy.

Coraz częściej skarży się pani na ból głowy, zaburzenia żołądkowe, kaszel i czarną melancholję.

Zaś faworyci: Fawicki z Ilińskim walczą o władzę nad tą kobietą i nie mogąc się znieść wzajemnie, obszczekują się po przedpokojach, jak ulubione pinczery księżnej pani.

Zabawia się pani mistyką, walczą o łaski faworyci, intryguje mała dworska kamarylla. Na wieść o tem, co dzieje się w Warszawie, wykrzykuje Konstanty z oburzeniem: Les belles cochonneries! i podpisuje rozkazy aresztowań, wyroki degradacji nieposłusznych oficerów.

A pod ziemią wre bunt...

W parku belwederskim opadają z drzew liście „co wyrosły wolne", grzebiąc w złocistej trumnie marzenia i sny Narodu.

Wiadomo, że Wielki Książę wyjeżdża nocami samotnie na miasto, by dokonać inspekcji, wiadomo, że po powrocie kładzie się spać w ubraniu, z bronią u boku.

Ale o tem się nie mówi...

Księżna Pani znalazła pewnego ranka po przebudzeniu, na stoliku w swojej sypialni, list z zaproszeniem do „Kuligu", który objeżdżał kraj cały, werbując młodzież do powstania. Były to wiersze, wiersze niejakiego Pana Słowackiego, który za karę Warszawę opuścić musiał. Słowa płynęły krwią i miodem, goryczą i buntem... Prosto w twarz pani rzucono chustkę z bieli i amarantu, cuchnącą krwią.

Ale o tem się nie mówi...

Pan de Moriolles otrzymał z Paryża ekstra pocztą nuty z kompozycjami niejakiego pana Chopina, który opuścił Warszawę przed kilkoma tygodniami i zdążył już dać koncert w Paryżu.

Pani z ulgą rozkłada nuty na fortepianie. Gra. Płaczą tony melancholijnie, zanoszą się jakimś srebrnym płaczem, srebrnym płaczem... Wśród tej muzyki czuje się Joanna bezpieczną, jak w rodzinnym domu, w ojcowskim, niebiesko malowanym dworze, w którego okna zaglądają złote oczy jaśminów...

Muzyka jest, jak zapach pól, obsianych hreczką, złocieniami i koniczyną. Muzyka jest, jak wiatr, szeleszczący w gałęziach brzóz i topoli, muzyka płynie, jak księżyc po niebie i odbija się w tafli stawu, który leżał w zachodniej części ogrodu.

Dźwięki spływają wielkiemi, jasnemi łzami po klawiszach.

I nagle dreszcz wstrząsa melodją. Pieśń podnosi się, jak burza i cwałuje przez fortepian w szaleńczej galopadzie, niby szarża lekkiej kawalerji... Dźwięki szturmują do drzwi Belwederu, jak uderzenia kolb rozszalałego tłumu.

Wielki Książę odrywa zmęczone oczy od gazety. Jest bardzo blady, jakby wszystka krew z twarzy odpłynęła do serca.

— Żaneto, przestań, przestań! Ta muzyka jest zbrodnią, obrazą majestatu. Za taką muzykę należy się Sybir i kajdany. Przeklęty grajek! W kwiatach ukrył dynamit. Hrabio de Moriolles, czy więcej tego świństwa przywieziono do Warszawy?

— Wasza Cesarska Wysokość, odpisy nut w setce egzemplarzy zostały rozrzucone po ulicach.

— Zatem sto armat przeciw Rosji!

— Zdaje się, że lonty już zapalono — wyjąkał nieśmiało milczący dotąd Fawicki.

— Lonty, powiadasz profesorze?

— Niech Wasza Cesarska Wysokość, spojrzy w okno.

W pobliżu Belwederu rozniecono ogień, który wzrastał z każdą chwilą. Był to sygnał dla Warszawy. Krwawa wić rzucona w tłum. Łuny biły w okna domów, rozdygotane dzwony wszystkich kościołów, spiżowym lamentem, opłakiwały tragedję Narodu, wzywając do walki o wolność.

Księżna Łowicka patrzała przez łzy na otwarte na ostatniej stronie pieśni Chopina, które prosto w jej serce wycelowały lufy armat, przemyconych z Francji do Polski pod stosem kwiatów.

——o——



Na lewo: Zimorodek przynosi swym młodym złowioną zdobycz.

ZIMORODEK – „RYBAK KRÓLEWSKI“

Piękny widok przedstawiają zimorodki, przelatujące nad brzegiem wody. Uderza nietylko ich oryginalna postać, lecz przedewszystkiem żywe upierzenie o różnorodnych sharmonizowanych barwach. Strojna szata w niczem nie ustępuje tej, która zdobi egzotycznych braci. Lśnią w słońcu szafirem lub szmaragdem piórka pokrywające wierzch ciała, śnieżno-białe podgardle odcina się jasną plamą od cynamonowego podbrzusza. Szczególnie żywo występują barwy w zimie na tle bieli śniegu.

Skrzydlatych tych rybaków spotkać można nad gliniastemi lub piaszczystemi brzegami strumyków i rzek, gdzie wśród porastających je krzewów lub drzew znajdują bezpieczne schronienie. Lot ich jest bystry i prosty; przecinają też szybko powietrze, jakkolwiek nie mają tych zdolności, co najlepsi lotnicy powietrzni: jerzyki lub jaskółki, nie umieją wykonywać szybkich zwrotów, gdyż nie pozwala im na to dość krępa budowa ciała.

Zimorodek, to nielada mistrz w polowaniu na ryby. Umie wybrać dla siebie odpowiednie stanowisko tam, gdzie najpewniejszą będzie jego zdobycz. Niby doświadczony rybak, który z największym spokojem zarzuca wędkę i czeka na zdobycz, zimorodek siedzi bez ruchu na gałązce tuż ponad wodą i bystrym wzrokiem wpatruje się w jej powierzchnię.

W mętnej wodzie ryb nie łowi. Wybiera miejsca takie, gdzie woda jest dostatecznie przejrzysta i pozwala mu zauważyć przepływającą rybkę. Unika zaś miejsc zbyt płytkich, nagłe bowiem nurkowanie w wodę mogłoby mu grozić rozbiciem. Cierpliwie wyczekuje długię nieraz chwile na smaczny kąsek. W odpowiednim momencie nagle rzuca się w wodę i niebawem wylatuje z upolowaną już zdobyczą. Najpierw otrząsa z wody swe delikatne piórka, następnie usiadłszy na gałązce wznosi główkę do góry, przechyla ją ku tyłowi i połyka zdobycz. Zdarza się niekiedy, że polowanie kończy się dla zimorodka tragicznie. Gdy połknięta rybka jest za duża w stosunku do jego gardzieli, ginie on przez uduszenie. Nie gardzi też larwami owadów. Rybki zjadane przez zimorodki są przeważnie niewielkie i nie przedstawiają większej wartości w gospodarstwie rybnem. Dlatego zimorodki są raczej pożyteczne, zjadając również niektóre drapieżne larwy owadów, które niszczą narybek.

Zimorodki żyją przeważnie samotnie i są bardzo płochliwe. Dlatego jeżeli nawet pojawiają się w jakiejś okolicy, są mało widoczne. Samiec ożywia się z wiosną, gdy szuka towarzyszki życia, zwabiając ją do siebie przeciągłym głosem.



W Australji żyje „zimorodek olbrzymi“ dochodzący do pół metra długości.



Ulubionem pożywieniem „królewskiego rybaka“ są małe rybki.

Zimorodkowi nie zbywa na zdolnościach budowniczego. Na urwistym brzegu strumienia lub rzeki wykuwa cierpliwie mocnym swym dziobem długi korytarz, niekiedy nawet i do metra długości. Na końcu korytarza znajduje się rozszerzenie, stanowiące właściwe gniazdko. Posłanie dla jajeczek stanowią bądź to przeźroczyste, niestrawione skrzydełka ważek lub inne części owadów, bądź też ości pozostałe z ryb. Pisklęta, wiedzione nakazem instynktu, ułatwiają troskliwym rodzicom pracę nad ich wykarmieniem. W zagłębieniu gniazdka przesuwają się kolejno dokoła, jakgdyby stojąc „w ogonku“ i zatrzymują się przed wejściem do korytarzyka. W ten sposób wszystkie pisklęta otrzymują równe porcje pożywienia przyniesione przez ojca i matkę.

Zimorodki mają wielu krewniaków rozsypanych po całej kuli ziemskiej. Najliczniej występują one jednak w krajach podzwrotnikowych. Nad wodami Nilu przelatują zimorodki pstrokate o skromniejszej jednak szacie czarno-białej. Lot ich jest znacznie spokojniejszy, nie mkną w powietrzu tak szybko, jak nasze zimorodki w jednym kierunku, lecz raczej kołują i zawracają w różne strony, zmieniając kierunek lotu.

Zachwyca swą urodą o barwach niebieskich i białych mieszkaniec Nowej Gwinei, zimorodek długosterny, nazwany tak dla swych długich piórek w ogonie. Jednym z największych jest zimorodek olbrzymi, znany w Australji i Nowej Gwinei, tak zwany łowiec olbrzym, noszący miano rybaka królewskiego — „King-fisher“. Wielkość jego osiąga pół metra. Dobrze znanym jest on filatelistom z australskich znaczków pocztowych.

Nazwa zimorodka bynajmniej nie odpowiada porze jego gnieżdżenia się, która przypada na wiosnę. Prawdopodobnie otrzymał ją dlatego, że nieraz pojawiał się w zimie w tych okolicach, gdzie przez resztę roku nie widziano go. Sądzono więc, że rodzi się w zimie. Zimorodki odbywają wędrówki, przenosząc się z jednych okolic do drugich. Poza tem w zimie, gdy drzewa pozbawione są liści, stają się dobrze widoczne przez kontrast swych jaskrawych barw z białem tłem otoczenia, pokrytego śniegiem.

Od najdawniejszych czasów był zimorodek bądź to przedmiotem kultu, bądź też źródłem podań i wierzeń. Grecy przypisywali zimorodkowi różne właściwości: miał chronić od uderzenia piorunów, skórka jego miała przyczyniać się do pomnożenia skarbów, samiczka zaś po śmierci swego małżonka miała ginąć śmiercią głodową, wydając w ostatnich chwilach życia śpiew, przynoszący nieszczęście.

W rzeczywistości niewinne zimorodki należą do jednych z najpiękniejszych ptaków, zdobiących swą krasą zarówno brzegi polskich strumyków i rzek, jak i podzwrotnikowe lasy.

Dr Z. M.



Na lewo: Przykrą konkurencją dla dziecka jest „zdziecinniały" ojciec, bawiący się jego kolejką.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA PRESSE-PHOTO, BERLIN



Na prawo: Nawet doświadczony automobilista chętnie pędzi na hulajnodze.

MŁODOŚĆ PO TRZYDZIESTCE

Życie ludzkie jest podzielone właściwie zupełnie bezsensownie: do jakiegoś dziesiątego roku życia trwa dzieciństwo, do osiemnastego mniej więcej wiek szkolny, do jakiejś czterdziestki wiek męski, a potem zaczynają się już epoki różnie nazywane, zależnie od tego, czy chodzi o mężczyznę, czy o kobietę. U mężczyzn mówi się nieraz o wieku przejrzałym, a dalej o starości, wobec kobiet stosuje się zwrot:

— Jak pani świetnie wygląda! Lata zdają się wogóle nie mieć na panią najmniejszego wpływu!

Co z tego podziału wynika? Oto poprostu do dziesiątego roku życia powinniśmy wyekspensować wszystkie nasze figle, nabawić się za wszystkie czasy, napsocić, niejako na wyrost, podobnie jak na wyrost sprawiają nam w tym wieku ubranka. Do osiemnastego roku życia powinniśmy znowu wyuczyć się wszystkich mądrości i przejść już do dalszych etapów życiowych, a do czterdziestego roku życia musimy się postarać o stanowisko społeczne, żonę, dzieci, reumatyzm, lub jak kto woli chorobę wątroby, „spleen", własny światpogląd i zdecydowany pesymizm. Jeżeli chodzi o dalsze okresy, to wymagają one od nas coraz mniej; poprostu dzieje się to wszystko automatycznie. Starzejemy się i chorujemy we własnym zakresie bez konieczności wykazania własnej inicjatywy, a wymyślenie nazwy naszych chorób pozostawiamy nieocenionym w tym wypadku osobom, mianowicie lekarzom.

Ale co zrobić, jeżeli nasze życiowe programy nie mieszczą się poprostu w tych szczupłych ramach zakreślonych nam przez konwencjonalny podział? Co się dzieje, gdy wyrastamy niejako z tych ram jak obraz, który pod wpływem zmian atmosferycznych staje się szerszy i dłuższy i wychodzi z nich, wykipia jak mleko z rondelka? Znajdujemy się wtedy w sytuacji człowieka, który przyjechawszy do pewnego miasta na jeden dzień, ułożył sobie rozkład czasu bardzo szczegółowo, poświęcając każdej ze spraw po godzinie, ale który zagadawszy się z przyjacielem w kawiarni musi urywać z następnego spotkania odpowiedni kawałek czasu, przez co wprowadza zamęt w cały rozkład dnia.

Otóż i my, o ile nie stosujemy się do tych ram czasowych, wprowadzamy niepokój w nasze życie. Weźmy pierwszy lepszy przykład: Młody człowiek, mając lat dwadzieścia nie zgłębił jeszcze arkanów trygonometrji nie rozróżnia sinusa od cosinusa, myli pojęcia tuberoza i tuberkuloza, natomiast zna świetnie, niejako na pamięć, wszystkie gatunki likierów i koniaków. Staje się maruderem drugiego okresu, żyjącym anachronizmem, przez dłuższy czas czuje się jak człowiek, któremu krawiec zrobił zbyt ciasne ubranie. Przez wiele lat ciągnąć będzie za sobą przyzwyczajenia, pojęcia i nawyczki z poprzedniego okresu, napotykając na każdym kroku na różnego rodzaju zawody. — Człowiek taki, nie mogący wyżyć się odpowiednio w swoich czasowych ramkach, przypomina śpiewaka, którego śpiew nie zgadza się z melodją i albo ją wyprzedza, albo się opóźnia.

Tak rzeczy te przedstawiają się oglądane z schematycznego punktu widzenia. Ale z drugiej strony trzeba pamiętać o tem, że życie nasze jest przedziwnym amalgamatem różnych instynktów, inklinacyj, odruchów i że wyszedłszy z wieku dziecięcego lub młodzieńczego bynajmniej nie zrywamy z nim kontaktu, a często utrzymujemy go do ostatniej chwili życia. Pozostałości z pierwszych lat naszego życia przejawiają się nieraz w najpoważniejszych chwilach naszej późniejszej egzystencji, w czasach, kiedy życie nauczyło nas, że nie jest bynajmniej sielanką, ani też romansem, chociaż są w niem romanse.

Na każdym kroku możemy zauważyć, że mimo wszystko, w pewnej części naszego charakteru, może w jednej dziesiątej, a może tylko w jednej piątej pozostaliśmy dziećmi. Każdemu z nas zdarzają się takie „spóźnione" odruchy. Słuchając poważnej rozmowy telefonicznej rysujemy bezmyślnie na kawałku papieru jakieś pokraczne figury i w tej chwili właśnie może wyżywa się w nas jakiś niedorozwinięty z czasów naszej młodości talent rysowniczy. Innym znów razem, widząc świeżo pomalowane drzwi nie możemy się oprzeć pokusie sprawdzenia, czy już wyschły, chociaż o czemś wręcz przeciwnem pouczają nas zawieszone na sznurku papierki. A ileż razy na takich „dzieciństwach" łapie się człowiek, posiadający własne dzieci! Sprawiwszy swojemu synkowi kolejkę, odkrywamy w sobie wielkie zdolności w prowadzeniu takim minjaturowym ekspressem i bawimy się nim lepiej bodaj, niż obdarowane dziecko. A cóż dopiero za przyjemność nas czeka, gdy możemy brać udział w „zawodach" na hulajnodze, lub też przy „grzebaniu" się w piasku!

Powiedzieliśmy, że człowiek, który nie dostosowuje w pełni swojej psychologji do danego okresu, pozostaje maruderem. Twierdzenie to jest pozornie słuszne, ale niezupełnie: właśnie te, zdawałoby się niezgodne z daną chwilą i sytuacją życiową pozostałości z poprzedniego okresu życia stanowią to urozmaicenie, jakiego nam tak często potrzeba, one też zabarwiają egzystencję naszą żywszemi kolorami. Te powroty do lat dziecięcych, te różne upodobania niezgodne z powagą i „porządkiem" życiowym są właśnie oazami psychicznego wypoczynku i odprężenia.

Więc mimo wszystko nie potrzebujemy się martwić, jeżeli z człowieka na poważnem stanowisku, cieszącego się ogólnem poważaniem, wyjdzie ni stąd ni zowąd mały rozbrykany chłopak z przed lat trzydziestu!

JGM.

W kole: Rysowanie ołówkiem różnych postaci czy ornamentów stanowi ulubioną rozrywkę dorosłych podczas „urzędowych" rozmów telefonem.



Poniżej: Staczanie fikcyjnych bojów przy pomocy ołowianych żołnierzy emocjonuje nawet starszych panów





R A N O...

Fot. Imre von Santho.

OD RANA DO PÓŁNOCY...

Piękna pani powinna być stale „pod bronią", a wiadomo, że najskuteczniejszą jej bronią jest strój. Od rana do wieczora wygląd jej i tualeta powinny odpowiadać wymaganiom estetyki i elegancji — zastosowanej w myśl wskazań mody do typu jej urody, trybu dnia, zajęć i otoczenia. Prawdziwie wytworna kobieta nie ubiera się jedynie „do gości", czy wychodząc do lokalu, ale w każdej okoliczności i o każdej porze dnia ubrana jest starannie i elegancko.

„Kobieta jest jak kameleon" — powiadają specjaliści od aforyzmów. Czemu przypisać powstanie tego powiedzenia? Otóż właśnie temu, że ta sama kobieta w ciągu dnia zmienia kilkakrotnie swój ubiór, a z nim i swój wygląd i styl — przedzierzgając się bez trudu z sportowej, energicznej nowoczesnej kobiety pracującej, w wytworną salonową damę. Jakże często zdarza się mężczyznom, że poznawszy jakąś panią na dancingu czy balu w wieczorowej tualecie, spotykając ją nazajutrz w mieście w kostjumie i kapeluszu, nie poznają jej i przechodzą, nie oddawszy ukłonu. Nie można im się czasem dziwić, gdyż rzeczywiście kobiety umieją zmieniać swój typ i wygląd zewnętrzny — jak kameleony.

Godziny poranne to okres trzeźwy i rzeczowy, okres pracy zawodowej, lub też sprawunków i interesów. Piękna pani — po porannej gimnastyce i odświeżającej kąpieli, czuje się energiczną i przedsiębiorczą, zdolną do twórczego wysiłku i pokonywania trudności. Staje obok mężczyzny przy warsztacie swej pracy — jest jak on odważna i pełna poczucia odpowiedzialności. Temu usposobieniu odpowiada też stosowny ubiór: prosty w kroju, wygodny i praktyczny, pozbawiony zbyt „kobiecych" cech i nadmiernej ozdobności.

Angielski kostjum z sportową bluzeczką „chemisier", szykowny komplet, złożony z spódniczki, żakietu i luźnego trzyćwierciowego futra czy płaszcza, sportowa suknia z wełny angorowej lub „bouclé" z szerokim skórzanym paskiem i takiemiż guzikami, wreszcie najmodniejsze i najpraktyczniejsze — suknie lub dwuczęściowe komplety z ręcznie robionego trykotu — oto stroje najodpowiedniejsze na godziny przedpołudniowe.

Również i kolory powinny harmonizować z otoczeniem i charakterem zajęć: barwy zbyt jaskrawe lub jasne pastelowe nie są odpowiednie, to też zastąpimy je dyskretniejszemi i praktyczniejszemi, wszystkiemi odcieniami bronzu, kolorem popielatym, granatowym lub ciemno-zielonym. Przedpołudniową całość uzupełnia kapelusz filcowy lub pilśniowy o sportowym charakterze lub wygodna czapeczka z aksamitu czy weluru. Buciki na poranny „footing" muszą być wygodne, solidne, na niskim lub słupkowym obcasie, zrobione z miękkiego boksu, skórki krokodylowej czy jaszczurczej lub też z grubszego zamszu.

Godzina obiadowa — to już pora odpoczynku, proszonego lunchu lub śnia-

Dokończenie na str. 18



...W POŁUDNIE...

Fot. Georgi.



...PO POŁUDNIU...

Fot. Imre von Santho.



...WIECZOREM...
Fot. Imre von Santho.

Dokończenie ze str. 15

dania w restauracji. W tym ostatnim wypadku przebieranie się nie jest konieczne, szczególnie jeśli idziemy do restauracji prosto z miasta czy biura. Ale lunch proszony wymaga już tualety bardziej wyszukanej, choć charakter jej powinien być utrzymany w bardzo skromnym i dyskretnym tonie. Na ten cel widuje się w tym roku najwięcej sukien wełnianych czarnych, których bardziej strojny charakter podkreśla tylko jakiś szczegół: aplikacja ze złotej skórki, dyskretny haft lub wyszycie z tak modnego w tym roku sutaszu. Kapelusz — również czarny — może być nieco fantazyjniejszy, przybrany kokardą z lśniącej lakowej wstążki, wualką lub efektowną klamrą.

W takim stroju — o ile czas nie pozwala na przebieranie się — możemy śmiało pokazać się również po południu na proszonej herbatce czy w kawiarni. Dopiero późniejsze godziny popołudniowe wymagają stroju o wyraźnym wizytowym charakterze, zaznaczonym tak w kroju, jak przedewszystkiem w materjale. Oprócz typowych sukien popołudniowych z jersey'u, matowego jedwabiu, lśniącego „satin" czy aksamitu, używany jest coraz więcej popołudniowy kostjum z sukna czy aksamitu, przybrany bogato srebrnymi lub niebieskimi lisami, uzupełniony strojną bluzką z lamy, koronki lub tiulu. Ma on tę zaletę, że nadaje się zarówno na popołudnie, jak i na wczesne godziny wieczorne, na kolację w restauracji, do kina czy nawet na improwizowanego bridge'a lub cocktail-party. Zaadoptowało ten strój wiele eleganckich kobiet, którym czynne i wypełnione różnorodnemi zajęciami życie nie zostawia zbyt wiele czasu na kilkakrotne przebieranie się w ciągu dnia.

Późne godziny wieczorne — to pora wielkich przyjęć i obiadów, dancingów w modnych lokalach i reprezentacyjnych balów. Dzień pracy i interesów skończony — teraz się bawimy i czarujemy wyszukanym strojem. Lecz i tu umiejmy zachować odpowiednie nuansy: innej tualety wymaga obiad o oficjalnym, reprezentacyjnym charakterze, innej bal, jeszcze innej dancing w barze. Ale Pani Moda o wszystkiem pomyślała i daje nam do wyboru ogromną skalę wieczorowych strojów, od prostej, czarnej sukni z długiemi rękawami i dużym dekoltem, poprzez efektowny wieczorowy kostjum z lamy lub brokatu, aż do powiewnych sukien z gazy, tiulu lub koronki, skomponowanych specjalnie do tańca.

Naczelny akcent wieczorowego stroju spoczywa jednak na okryciu: może to być pelerynka ze srebrnych lisów, albo cały długi cape z futra, powłóczysty płaszcz z lśniącego aksamitu, spływający majestatycznie z ramion, albo też prosty w kroju, pod szyję zapięty ciemny płaszcz z aksamitu lub wełny, przybrany bogato lisami lub ozdobiony nałożonemi pasami gronostajowego futerka. W takiem okryciu wchodzi się do lokalu, a zdejmuje się go tylko do tańca. Nie jest ono dodatkiem, lecz częścią składową wieczorowego stroju.

Lady Like.



...I O PÓŁNOCY.

Fot. Imre von Santho.

Dêle-Mêle

O chwilkę milczenia proszę, piękne panie! Oto 40 lat temu zmarł ten, któremu bardzo dużo zawdzięczacie: Marcel Grateau, wynalazca ondulacji. Trudno sobie wyobrazić, że był czas gdy jej nie znano i gdy żelazka z napisem „Marcel“ były „krzykiem“ mody. — Marcel nie miał łatwego życia. Jako młody chłopiec wstąpił na praktykę do fryzjera i wkrótce wynalazł ondulację. Z zastosowaniem jej było gorzej, bo pierwsza klientka, której zaczął po swojemu robić fryzurę, narobiła masę krzyku, „patron“ przyleciał i z miejsca wynalazcę na bruk wyrzucił. — Wogóle najgorzej było z tym początkiem, żadna kobieta nie chciała zaryzykować, aż wreszcie matka i siostra zgodziły się poddać „operacji“ (było to już w Paryżu) i od tego momentu zaczął się zwycięski pochód Marcela do sławy i pieniędzy. Już w pełni powodzenia działy się dramatyczne sceny nieraz w pracowni Marcela. Marcel przez dłuższy czas nie zdradzał swej tajemnicy i sam czesał, to też nie mógł nadążyć zamówieniom, ogonek karet rósł przed zakładem, a wewnątrz panie przelicytowywały się o miejsce w kolejce; cena uczesania dochodziła potem do 1000 franków! Nic dziwnego też, że po niezbyt długim okresie Marcel syt był sławy i pieniędzy, usunął się w domowe zacisze, a teraz wdzięczny związek fryzjerów Paryża chce mu wystawić pomnik.

Przemysł perfumeryjny nie może się obejść bez znacznych ilości olejku różanego. Produkt ten jest bardzo drogi, a dostawcą w głównej części jest Bułgarja, gdzie są olbrzymie plantacje róż. Niedawno jakiś „złośliwy“ wynalazca opatentował znacznie tańszy sposób wytwarzania tego olejku. Groziło to ruiną plantatorom — zaszkodziłoby więc całej Bułgarji — toteż rząd nie namyślając się długo, zakupił patent i schował go do szuflady. Znów jeden patent, za śmiały, nie przyniesie korzyści ludzkości podobnie jak wiele innych. Np. obcas gumowy był już bardzo dawno wynaleziony, lecz przedstawiciel jednej fabryki skóry wziął wynalazcę — biednego szewca — do fabryki na „dożywotni wikt“ i mieszkanie pod warunkiem, że obcas gumowy nie zobaczy światła dziennego, żyletka, którąby się można bardzo długo golić, samochód, któryby prawie nie zużywał się itd., wszystko to możnaby już wytwarzać, ale nie zgadzałoby się to z linją wytyczną producentów... Podeszwy gumowe — wspomnę przy tej okazji — wynalazł O. Sullivan, który pracował w fabryce i przeszkadzało mu drganie podłogi. Najbardziej demokratyczny naród, Amerykanie, chciałby mieć jednak trochę więcej pamiątek z przeszłości w postaci — ruin, toteż czemprędzej założono odpowiednią w Filadelfji fabrykę. Dostarcza dowolne ruiny i to nawet: począwszy już od 4000 dol.

Filateliści powinni obchodzić bieżący rok uroczyście, bo 100 lat temu niejaki Hill Roland wprowadził 1 pensową markę w Anglji. Jednak prawdziwą markę wynalazł i wprowadził w użycie James Chalmers w dn. 6 maja 1840 r. Pamiętamy tę ładną scenę z Krzyżaków, gdzie Danusia wybawia Zbyszka z opresji wołając: „Mój ci jest, mój ci jest“. Coś podobnego istnieje w więzieniu dla młodych dziewcząt w Oklahoma. Oto jeżeli ktoś chce się ożenić z którąś z uwięzionych, to darowuje się jej karę i może ona wtedy swobodnie iść za swym ukochanym.

Nie wyobrażamy sobie dłuższej podróży nocnej bez sleepingu. Nie całe 40 lat temu nie śniło się ludziom o takim luksusie. Wagony sypialne nazywamy często, od domniemanego wynalazcy, Pullmanami. Jednak nie całkiem słusznie, bo na pomysł ułatwienia spania w pociągu wpadł zupełnie kto inny. W połowie XIX wieku urzędnikami „Pennsylwania Railroad“ byli Carnegie i Pullman. Choć pierwszy był już sekretarzem dyrekcji, a drugi zajmował znacznie niższe stanowisko, to jednak byli na przyjacielskiej stopie z dawnych jeszcze czasów, gdy Carnegie był tylko posłańcem przy urzędzie telegraficznym. Pullman podpatrzył u drugiego urzędnika tejże kompanji, niejakiego Woodruffa, model wagonu sporządzonego dla synka, model z łóżkami jednem nad drugiem. Pullmanowi idea ta wydała się doskonałą i za pożyczone od Carnegiego pieniądze (pierwszy i jedyny narazie jego 1000 dol.!) skonstruował wagon sypialny. — Oczywiście — jak to zawsze bywa — wagon spotkał się z ogólnem niedowierzaniem fachowców i prasy. Aż dopiero gdy pierwszy raz wjechał na dworzec New Yorku ludność przyjęła go entuzjastycznie i wtedy (oczywiście!) „Pennsylwania Railroad“ zawiera kontrakt z Pullman Car Co (t. zn. Carnegie i Pullman), dający jej wyłączność zaprowadzenia wagonów sypialnych na wszystkich jej linjach.

Poruszywszy jeden szczegół z życia jednego z potentatów finansowych USA, warto parę słów o nich powiedzieć. Przeważnie uważa się miljarderów za dzieci szczęścia. Tak nie jest, bo byli to ludzie zawsze ogromnej pracy. Nie jest to puste twierdzenie! Amerykanin Ch. Pallock wziął się do tej kwestji z ołówkiem w ręku i obliczył, że w większości wypadków bogaci Amerykanie mieli powyżej 90 proc. pecha, a tylko kilka procent szczęścia. Wiemy, że Edison sypiał tylko parę godzin dziennie. Całą sprawę najlepiej ujmuje wywieszka, jaką się widzi czasem w przedsiębiorstwach amerykańskich: „Tu nikt nie pracuje więcej jak 40 godzin tygodniowo — z wyjątkiem kierowników“. Jedno pismo zebrało rady miljarderów. Podam parę w skrócie: lord Nuffield, król samochodów, formułuje swoją radę: „niezbędnem jest ciężka praca i zdolność przewidywania“; sir H. Deterding, król oliwy, kładzie nacisk na umiejętność przyznawania się do błędu; Selfridge (olbrzymi dom handlowy o 5.000 pracowników) twierdzi, że nie powinno się być nigdy zadowolonym, mieć siłę woli i być uczciwym; lord Hirst, król elektryczności, zaleca stawianie odpowiednich ludzi na odpowiednich miejscach, optymizm, ambicję i pracowitość; wreszcie Ford powiada, że trzeba taniej i lepiej produkować. Oryginalna jest uwaga Ranka — króla młynarstwa: „Krytycy są szczęściem w życiu!“ — Jak widać rady są proste tylko... trzeba je stosować!

Nie wozi się do Aten sów, ani do Tuły samowarów, ale okazało się, że w tropikalne strony trzeba wywozić ultrafioletowe promienie. Brzmi to jak paradoks, przecież właśnie pod równikiem słońce świeci najsilniej. Tak, ale w okolicach lesistych, gdzie jest najsilniejsze parowanie, powietrze jest wilgotne i nie przepuszcza ultrafjoletowych promieni. Dlatego to francuskie min. kolonji zakupiło masę lamp „słonecznych“ i posłało swym urzędnikom. A propos urzędnicy: ministerstwo spraw zagranicznych Imperjum brytyjskiego liczy tylko 190 urzędników łącznie z woźnemi itd. Wbrew oczekiwaniu, głównemi osobami kierującemi polityką, nie są ci, o których się słyszy, np. E. Eden, lecz 5 ukrytych w cieniu, a z tych najważniejszym obecnie jest sir Robert Vansittart.

Wszyscy wiedzą o Walt Disney'u jako wynalazcy filmu rysunkowego, a jednak nie on wpadł na ten pomysł, lecz Emile Cohl, który ma teraz 80 lat i w nędzy spędza ostatnie lata życia w szpitalu.

W amerykańskich filmach podziwiamy karkołomne sztuki aktorów, przypuszczamy że to są sztuczki fotograficzne. Nie zawsze! Do tego celu są specjaliści, a ich menagerem jest G. A. Hamid, zwany „thrill-merchant“ — handlarz wzruszeń. Cudów dokazują ci śmiałkowie, nic to dla nich lądować samolotem na jadącym samochodzie, zlatywać z samochodem w przepaść, najeżdżać na mur, bo powiadają, że grunt to umieć upadać i jak się tę sztukę opanowało to nic się nie może stać. I rzeczywiście wypadki śmierci wśród nich są nader rzadkie.

Często w awanturniczych filmach widzimy jak ktoś samochodem przejeżdża przez szyby. Prawdziwe byłyby za niebezpieczne, toteż robią je z cukru!

Obsługa klienta „service“ to wynalazek amerykański. Stamtąd też przychodzi nowy a dowcipny pomysł, by w sklepach z obuwiem paniom do mierzenia bucików podsuwać lustra pomniejszające. Młody człowiek, który wpadł na ten pomysł, został współwłaścicielem sklepu.

Czytywaliśmy już o tak zwanych martwych kontach w bankach. Są to kwoty — zwykle drobne — które właściciel konta nie podjął, czy to z powodu śmierci czy też zapomnienia. W każdym państwie jest tego dość dużo. USA niedawno ogłosiło statystykę zaiste gigantyczną. Oto w tamtejszych bankach jest takich kont 5 miljonów na łączną sumę 190 miljonów dolarów. Kwota ta nawet Ameryce wydała się za dużą i ma wyjść prawo, by te sumy po pewnym czasie przechodziły na dobro skarbu.

Dziwny turniej urządzono w New Jersey: rekord ostrzenia ołówków. Zwyciężył 22-letni urzędnik bankowy William O'Connor, ostrząc precyzyjnie 61 ołówków w ciągu 10 minut. Otrzymał pierwszą nagrodę w postaci szczerozłotego ołówka.

W Ameryce też jest chyba najoryginalniejszy klub, nazywa się „Post mortem“. Każdy zapisujący się piśmiennie darowuje zarządowi klubu swój szkielet.

Wiemy o wielu krezusach ziemi i nazywamy coraz innego „najbogatszym“, ale naprawdę najbogatszymi, jako rodzina, jest prawdopodobnie dom Mitsui w Japonji. Ród ten od 300 lat rośnie i rozwija się rządzony swemi prawami (za zezwoleniem mikada), które są bardzo surowe. Już w XVII w. Hairobi wprowadził obrót czekowy w Japonji. Obecną głową rodu jest Takakami Mitsui, panujący nad węglem, jedwabiem, bawełną, naftą, cukrem itd., a pozatem flotą handlową, która ilościowo przewyższa flotę niejednego wielkiego państwa. Oczywiście że mają własny bank, The Mitsui Bank Ltd., który załatwia wszelkie ich transakcje. Kapitał wynosi „drobnostkę“ — 100 miljonów jenów, a rezerwy wynoszą 60 miljonów. Majątek Mitsui nie jest znany: podawano 3 miljardy jenów, ale jest więcej jak prawdopodobnem, że sumę tę trzeba znacznie powiększyć.

Niedawno świat stracił tego, który — zdaniem wielu — nadał charakter naszej epoce: Marconiego. Wszystkie gazety rozpisywały się i podawały jego życiorys, więc tylko wspomnę, że według zdania asystenta Marconiego G. S. Kempa najpiękniejszą chwilą w życiu tego genjusza to był moment w roku 1901 dn. 12 grudnia, gdy ze stacji swej w Nowej Funlandji usłyszał sygnał... to jest S, nadawany przez stację w Poldhu w Anglji. Chwila to była piękna, bo wówczas wszyscy uczeni zgodnie twierdzili, że z powodu krzywizny ziemi porozumiewanie się radjem na większe odległości jest niemożliwe. A Marconi wierzył i zwyciężył!

Jerzy Dołęga-Lewandowski.

SUMO
ZAPASY JAPOŃSKIE

Dwa razy do roku, t. j. w styczniu i w maju Tokio jest poruszone i podniecone. Powodem tego są walki atletów zwane Sumo, odbywające się w Kokugikan, olbrzymim amfiteatrze w Tokio. Kokugikan może pomieścić 13 tysięcy widzów i w ciągu okresu zapasów, trwającym 10 dni, jest od rana do nocy przepełniony. Dla podkreślenia niesłychanego powodzenia, jakiem się te zapasy cieszą dodam, że na dwa miesiące przed rozpoczęciem walk Kokugikan jest wyprzedany do ostatniego miejsca na wszystkie 10 dni! Sumo jest narodowym sportem Japonji, datującym się — jak mi mówili moi przyjaciele Japończycy — od zamierzchłych czasów; pierwsze walki demonstrowano już 1950 lat temu!

Amfiteatr jest — jak już wspomniałem — gigantycznych rozmiarów. Przeważnie siedzi się tam na poduszkach w lożach na 6 osób każda. Pośrodku znajduje się na podwyższeniu „ring". Z czterech stron ringu mieszczą się słupy, podtrzymujące dach w stylu japońskim, udrapowany czerwonymi festonami. Sam „ring" ma ok. 10 m średnicy, wysypany jest piaskiem, o granicach wyłożonych wciśniętym w piach sznurem słomianym. Poza ringiem jest jeszcze spora przestrzeń również piaskiem wyłożona, stanowiąca scenę.

Sami siłacze przedstawiają widok pocieszny na pierwszy rzut oka, pomimo swego potężnego wyglądu. Oczywiście pocieszny z punktu widzenia europejskiego, gdyż Japończycy patrzą na nich z uwielbieniem i czcią należną pół-bogom. Zapaśnicy są obrzymich rozmiarów tak co do wzrostu jak i tuszy. Waga jaknajwiększa i brzuch jaknajobszerniejszy są warunkami powodzenia w zapasach. Tuszę i wagę osiągają łatwo; poprostu zjadają dziesięć razy więcej od przeciętnego żarłoka, piją mnóstwo sake (wino ryżowe) i piwa i efekt jest osiągnięty ku zadowoleniu Związku Atletów zw. „Wschód". Ale co do wzrostu, to jest on o tyle zdumiewający, że rasa japońska jest właściwie mała, skąd się biorą więc tacy olbrzymi? — Niemniej są. Atleci noszą fryzury; błyszczące długie włosy namaszczone upinają w węzeł na środku głowy — podejrzewam ich, że noszą podkładki, jak nasze mamy, gdy były pannami. Poza tem występują zupełnie nadzy z przepaską tylko czarną na lędźwiach (coś w rodzaju „szwimek" zabronionych w Legii,) umocowaną silnie, by nie zawiodła w szamotaniu się, gdyż za tę właśnie opaskę z tyłu chwytają, by się wzajem podźwignąć i wyrzucić poza ring — o co właśnie chodzi. I tu naocznie przekonać się można, do czego „kultywowanie" tak dużych brzuchów się przydaje. Gdy się walczący zczepią, brzuchacz przechyla się odrobinę w tył, podnosząc przeciwnika na swym wybitnym brzuchu, powoduje, że przeciwnik nie dostaje nogami do ziemi, a więc nie ma oparcia i w tym momencie zostaje wyrzucony poza ring. Walka trwa zwykle bardzo krótko, niecałą minutę, nawet krócej, natomiast ceremonje prawie pół godziny, a nawet dłużej. Zapaśnicy zmierzają się kilkakrotnie, by się uchwycić w żelazne objęcia i już już mają się rzucić na siebie... lecz nie, jeszcze nie nadszedł „moment psychologiczny". — Podnoszą się z pozycji wypadu i wolnym krokiem rozchodzą się do dwóch przeciwnych stron ringu, gdzie każdy przy słupie „kuca" (zwykła pozycja spoczynkowa Japończyka), dostaje z rąk innego atlety kubek herbaty, zwanej w tych okolicznościach „napojem siły" i ręcznik, którym się intensywnie wyciera pod pachami i między fałdami tłuszczu. Potem biorąc w garść nieco soli, wolno kroczy na ring, siejąc ją przed sobą — jak rolnik ziarno: to symbol odpędzania tałum. Publiczność przez ten czas wyje podniecona, zachęca i drażni zapaśników, lecz oni z zupełnym spokojem zmierzają się 7—10 razy, wpatrują się drapieżnie w swoje oczy nabiegłe krwią... i rozchodzą się — „moment psychologiczny" znowu nie nadszedł. Aż wreszcie, gdy sala szaleje z niecierpliwości, w pewnym momencie zczepiają się, emocja ogarnia wszystkich przez pół minuty i jeden z zapaśników leży poza ringiem; czasem spadają z estrady obaj. Obecni wyją... Zwycięzca pozostaje na ringu, siada ceremonjalnie, a przed nim bije pokłony „sędzia", ubrany w staroświecki brokatowy strój z wysoką czapką na głowie, trzymając wachlarz w obu rękach, przytknięty bokiem do czoła. Jest to ceremonjalne przyznanie zwycięstwa. Przed wyjściem następnych zapaśników, wyskakuje na ring zabawna figurka, która z wachlarza odczytuje nazwiska następnie walczących. Odczytywanie to odbywa się tonem śpiewnym, falsetem, z pokłonami przy każdem nazwisku.

I znowu wychodzą nowi zapaśnicy i znowu to samo w kółko i tak przez dziesięć dni od rana do nocy. A publika wprost mieszka w amfiteatrze, je tam i pije i śpi i niańczy dzieci, spaceruje, załatwia bież. sprawy, odwiedza się i zakłada etc.

Fotografje nasze przedstawiają m. in. gest powitalny zapaśnika i sędziego, ubranego w archaiczny strój i trzymającego lakowany wachlarz, jaki w dawnych czasach używali wodzowie japońscy, wskazując kierunek napadu swym wojskom. Zapaśnik przy prezentacji przypasuje strojny fartuch z wyhaftowanemi swemi insygniami. Mistrz ma prócz tego gruby sznur, paradnie wokół brzucha uwiązany, ze zwisającymi papierkami, oznaczającymi pieniądz, bogactwo. Jest to wieloletni mistrz Sumo, Tamaniszi-san.

Zwycięstwo lub pokonanie bardzo wiele znaczy dla zapaśników o tyle, że zależnie od tego ich ranga w hierarchji Sumo podnosi się lub opada, co za sobą pociąga podwyższenie lub obniżenie ich wynagrodzenia.

Poza temi dwa razy do roku walkami w Tokio, zapaśnicy jeżdżą zapraszani po całym kraju i nawet dając gościnne występy poza własnym krajem w środowiskach skupień japońskich, jak w Chinach, na Filipinach, w Indjach itd. Są oni witani z wielkim entuzjazmem wszędzie, jak to miałam sposobność widzieć, jadąc przez Mukden (Chiny). Przyjechali w salonce i byli witani jak bohaterowie przez tłumną delegację, występującą z transparentami i chorągwiami.

W okresie tych walk Sumo w Tokio, prasa japońska przepełniona jest dziennemi sprawozdaniami, o wynikach walk, o których notabene i radjo ryczy przez rozgłośniki na wszystkich ulicach Tokio, powodując zbiegowiska chciwie przysłuchujących się entuzjastów zapasów, których jest przecież w samem Tokio setki tysięcy.

Janina Lubańska
b. sekretarka w Poselstwie R. P. w Tokio.



Zawodników przed wyjściem na arenę zdobią bogato haftowane fartuchy.



Przywitanie na ringu i wezwanie do walki.



Pierwsze chwyty zapaśników są jeszcze niepewne.

Mistrz w walkach „Sumo", Osehi-sana.

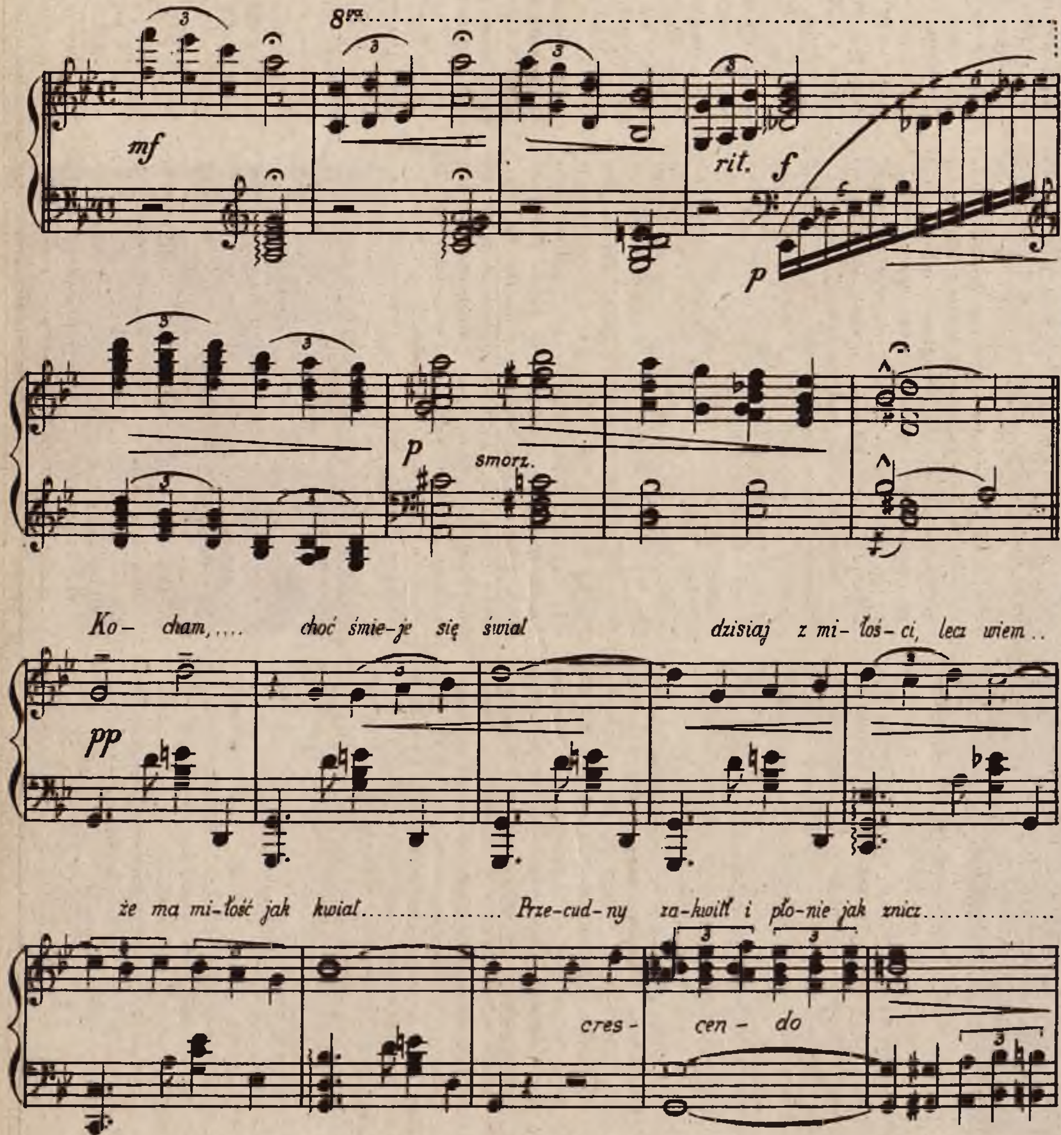


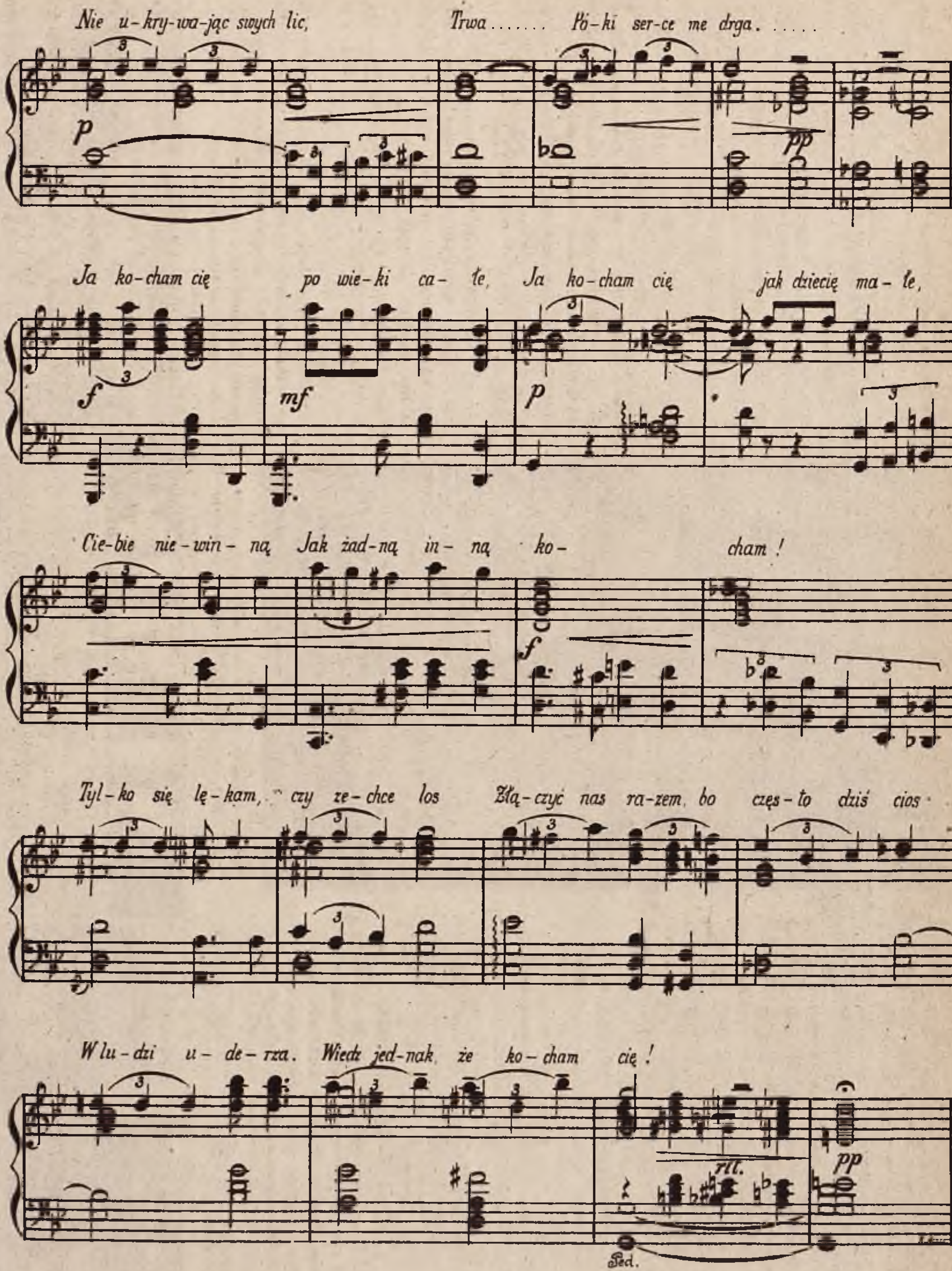
KOCHAM...

SLOWFOX-PIOSENKA

SŁOWA:
WITOLD KAŁKA

MUZYKA:
MARJAN RADZIK





KOLĘDZY

R. DORGELES ◆ NOWELA

PRZEKŁAD Z FRANCUSKIEGO HELENY HELLERÓWNY

Jadła odniechcenia banana, schyliwszy głowę, wykonując rękoma niedbałe gesty, a ponieważ futrzana etola zsunęła jej się z ramion, widać było jej delikatną, piękną szyję, o kształcie niemal tak smukłym, jakby to była szyja młodej dziewczyny. Barwa tej szyi przypominała do złudzenia odcień pereł naszyjnika nieznajomej. Piękna kobieta obrzucała od czasu do czasu nieśmiałym wzrokiem gości nocnego lokalu, a obserwujący ją młodzieniec myślał:

— Zapewne to jej pierwsza przygoda... prawdopodobnie jakaś młoda mężatka...

A potem pochylił się naprzód z udawaną czułością, przyglądając się równocześnie z wytężoną uwagę perłom. I z zadowoleniem gwizdnął przez zęby:

— Perły są prawdziwe...

Wyczuła ten wzrok i spiesznie zwróciła głowę w stronę młodzieńca. Stulił wargi, jakby chciał ją pocałować w szyję. Wywołało to rumieniec na jej twarzy, a on uśmiechnął się zwycięsko. Ale wydawała mu się dziwnie piękna i dlatego był jakiś niezdecydowany. Wogóle denerwował go pobyt w tym od śródmieścia bardzo odległym lokalu nocnym, w którym nigdy nie bywał i od czasu do czasu rozglądał się niespokojnie wokoło, szukając jakiejś znajomej twarzy. Nieznajoma obserwowała go w międzyczasie uważnie, a potem jej ciemno-niebieskie oczy, których źrenice były niemal niewidoczne, stały się nieruchome i twarde. Przypatrywała się jego ładnej, bronzowej twarzy, niezwykle wypielęgnowanym rękom i jej spojrzenie zatrzymało się na pierścieniu, który nosił na środkowym palcu lewej ręki. Był to pierścień ze wspaniałym brylantem o niebieskawym połysku.

Młodzieniec wyczuł to spojrzenie i rzekł:

— Piękny kamień, prawda? To pamiątka rodzinna...

— Tak, rzadko widzi się taki kamień. Posiadam także brylant, ale ten jest bez porównania piękniejszy...

Przysunął się do niej bardzo blisko, ujął jej smukłą, nerwową dłoń i szepnął, nachylając się nad jej szyją:

— Czemu pani się wzbrania? Czy taka króciutka przejażdżka po Lasku jest czemś tak okropnie zdrożnem?... Chciałbym panią mieć na chwilę tylko dla siebie... Przytulić pani ramię nie na oczach wszystkich... och, już zwracają na nas uwagę... potem odwiozę panią do domu i będę czekał cierpliwie, aż pani będzie mogła się ze mną spotkać... Proszę powiedzieć tak...

Zgodziła się w sposób niezdecydowany. Gdy wkładał jej płaszcz, ręka mu zadrżała lekko i zapragnął nagle, ażeby zaszło coś, co uniemożliwiłoby tę przejażdżkę.

W samochodzie było tak ciemno, że wahał się zbliżyć do swej towarzyszki. W gardle mu zaschło i musiał się przemóc, ażeby się otrząsnąć z uczucia głupiego lęku. Zaczął na chybił trafił szukać ładnej, wąskiej rączki, którą czuł gdzieś w pobliżu na poduszkach samochodu i nachylając się ku nieznajomej, szeptał bez przekonania banalne czułości, zły na siebie za to czcze gadanie. Jego towarzyszka słuchała go w milczeniu, nie ruszając się. Czuł tylko, że odwzajemnia uścisk jego ręki i chwyta jego palce w swe suche, nerwowe paluszki. Ta naiwna, niezręczna pieszczota, wyprowadziła go zupełnie z równowagi i pomyślał: „Jesteśmy już w alei pod drzewami... najwyższy czas...".

Był jednak dziwnie tchórzliwy i niezdecydowany i gdy jego prawa ręka, którą trzymał w kieszeni marynarki, dotykała małej, zimnej flaszeczki, przechodził go dreszcz od stóp do głów. Był jeszcze bardziej zdenerwowany jak owego wieczora, gdy szybkim gestem skradł pierścień brylantowy z wystawy jubilera Pickaert'a.

Nieznajoma cofnęła powoli rękę.

— Pan jakoś już nic nie mówi?... W restauracji był pan o wiele rozmowniejszy... Proszę mnie wysadzić na placu l'Alma... innym razem będzie pan może w lepszym nastroju... Jestem zresztą strasznie zmęczona!

Te słowa skłoniły go do działania. Objął ją lewą ręką i przechylił w swą stronę tylko słabo się opierającą głowę, jakby chciał ją pocałować w twarz. Równocześnie wziął do drugiej ręki flaszeczkę, odsunął kciukiem korek i zatykając nieznajomej brutalnie usta, zmuszał ją do wdychania narkotyku. Woń chloroformu rozeszła się momentalnie i odsunął możliwie najdalej w bok głowę, ażeby uchronić się przed oszałamiającymi skutkami. Młoda kobieta broniła się początkowo zapamiętale, chcąc się wyswobodzić od jego duszącej pięści.

— Nie... nie... — charczała. — Słuchaj-że mój chłopcze... powiem ci wszystko... puść mnie...

Ale przyciskał ją do siebie kurczowo, jego palce leżały jak żelazne klamry na jej ustach, a równocześnie przykładał flaszeczkę z chloroformem do jej nosa. Wdychała chloroform szybko, w pewnych odstępach czasu tak, jak tonący usiłuje chwytać powietrze. Na dworze przesuwał się leśny pejzaż wśród głębokiej ciszy. W poświacie księżyca widać było trawniki, a poszczególne drzewa wyłaniały się jak wartownicy. Nieznajoma poruszała się tylko jeszcze słabo i usiłowała coś powiedzieć zamierającym głosem:

— Mylisz się... jesteśmy...

Wreszcie ucichła. Trzymał ciągle flaszeczkę przy jej twarzy i czekał aż jego ofiara osunie się bezwładnie na poduszki samochodu. Dopiero wówczas otworzył okno i powoli zdjął z białej szyi naszyjnik z pereł. Następnie wychylił się z okna, ochłodził na zimnym wietrze nocnym swe zroszone potem czoło i wkońcu rozkazał szoferowi: „Place de l'Alma!".

Od czasu do czasu sięgał jeszcze po flaszeczkę, ażeby przedłużyć sen i w świetle lamp łukowych przypatrywał się młodej twarzyczce, która przypominała oblicze nieżywego pajaca. Nieruchome, nawpół przymknięte oczy zdawały się patrzeć na niego z wyrzutem.

Mimo, że kradzież mu się powiodła, był jeszcze ciągle przygnębiony i dziwnie zdenerwowany.

— Czemu mówiła mi ty? — zastanawiał się co chwilę. Samochód przystanął. Wysiadł powoli i stał chwilę przy drzwiczkach, jakby pragnął przedłużyć czułe pożegnanie:

— Zatem jutro o trzeciej, najdroższa... tak, z pewnością!

Nachylił się i pocałował z kurtuazją zimną rękę śpiącej. Następnie zamknął drzwiczki i rozkazał: „Ulica Detaille 4!".

Gdy samochód znikł, pobiegł szybko w stronę taksówek, wsiadł do najbliższej z nich i kazał się zawieźć do jednej z nocnych kawiarń na Montmartrze. Na wszelki wypadek musiał sobie przygotować alibi.

Zataczając się lekko wszedł trochę oszołomiony do hall'u, gdzie kelner wziął od niego płaszcz. Przekonał się, spojrzawszy w lustro, że był trupio blady i zdawało mu się, że czuć go chloroformem. Z dużej sali dochodziły odgłosy szalonej zabawy, dźwięki gorączkowej muzyki, piskliwe krzyki kobiet i poszczególne zwrotki piosenki. Słuchał tego wszystkiego, jak we śnie, a jego drżąca ręka obejmowała kurczowo łup, który zdawał się w dotyku chłodny i gładki.

Pokusa była zanadto wielka. Wydobył z kieszeni naszyjnik i przyjrzał mu się ukradkiem w świetle lampy, wiszącej w kabinie telefonicznej.

Ale już po pierwszem spojrzeniu zmarszczył czoło, a potem popatrzył uważniej, wziął do ust kilka pereł, ugryzł je ostrożnie i wreszcie potrzymał je pod światło i zaklął straszliwie.

— Wpadłem! Perły są fałszywe!

Serce mu biło jak młotem. Nagle doznał wrażenia, że słyszy wyraźnie słowa, które nieznajoma wyjąkała: „Powiem ci wszystko, mylisz się... zechciej mnie wysłuchać..." i ogarnął go straszny lęk. Widział jej wielkie, okrutne oczy i czuł jej giętkie, niesamowicie silne palce...

Po chwili zdołał jednak opanować ten lęk:

— Głupstwo!... Jakaś awanturnica, która się chwaliła fałszywą biżuterją... wyprowadziła mnie w pole, jak jakiegoś sztubaka!

Przygładził czarne, gęste włosy, poprawił krawat i wszedł swobodnym krokiem do dużej sali, w której niemal przy wszystkich stolikach pito szampana. Rozejrzawszy się szybko wokoło, podszedł do stolika, przy którym siedziało kilku jego przyjaciół ze swemi kochankami. Kiedy się przywitał i położył rękę na poręczy krzesła, jedna z kobiet spojrzała mimowoli na jego dłoń, poczem zawołała zdziwiona: „Gdzie masz twój pierścień brylantowy?".

Zbladł i popatrzył na swą lewą rękę. Pierścień znikł...

ZROBIĘ TO SAMA!



Kamizelka z zielonej i brązowej wełny.



Przedpołud. pullowerek z czerwonej wełny.

BLUZKI NA DRUTACH

Doskonałym uzupełnieniem każdego sportowego stroju jest bluzka, wykonana na drutach. Możemy ją wykonać w każdej grubości, będzie więc zarówno odpowiednia pod kurtkę futrzaną, czy jako część kostjumu narciarskiego, czy też jako lekki trykot z krótkiemi rękawami, odpowiedni do kąpieli słonecznych w naszych górach. Podajemy dzisiaj dwie takie bluzki. Jedna z nich, to kamizelka, stanowiąca sama dla siebie w połączeniu z spodniami wystarczający strój narciarski, gdyż wykonana jest z dwóch gatunków włóczki, naśladując zamszową kamizelkę.

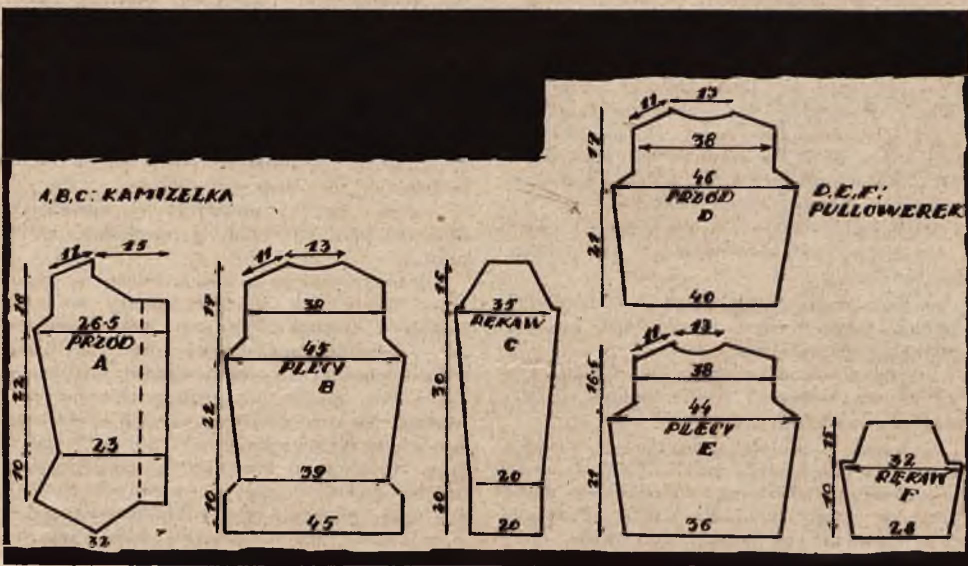
Materjał: 200 g ciemno brązowego „Maratonu", oraz 300 g jasno-zielonej włóczki „Polarnej" marki „Trójkąt w Kole", oprócz tego 7 guziczków drewnianych wielkości 1 cm. Druty nr. 3 i 2. Przody i plecy kamizelki wykonujemy z „Maratonu" ściegiem jersey, przyczem lewa strona jest prawą stroną kamizelki. Przerabiamy na drutach nr. 3, zaczynając każdą część od dołu. Przody zaczynamy po 3 oczka i dodajemy na końcu każdego rzędu po 4 nowe oczka. Dalej przerabiamy przez całą szerokość. Dziurki na guziki wykonujemy w prawym przodzie po 2, zakończając w odpowiednich miejscach po 4 oczka i nabierając w następnym rzędzie, w tem samem miejscu, tę samą ilość nowych oczek. Pierwsza dziurka z każdej pary wypada na jeden cm od prawego brzegu, następna o 6 cm. Wrabiamy 7 par dziurek. Następnie składamy w pół brzeg wzdłuż linji kreskowanej i przymocowujemy założony brzeg niewidocznemi ściegami. Dziurki wypadają teraz po dwie na sobie. Celem złączenia ich obdziergujemy je, sięgając przez obie warstwy. W ten sam sposób jak dziurki wykonujemy w lewym przodzie otwór na kieszeń. Zamiast jednak nabierania nowych oczek na miejsce zakończonych włączamy w to miejsce poprzednio zrobioną klapę kieszeni szer. na 8, wysoką na 4 cm. Wewnętrzną ścianę kieszeni szeroką na 8, wys. na 10 cm, podszywamy pod przód niewidocznemi ściegami. Aby nie pogrubiała, można ją wykonać z cienkiej wełny, albo z materji podszewkowej. Guziki obciągamy, takim samym trykotem, z jakiego wykonano kamizelkę. Rękawy i kołnierz kamizelki wykonujemy z jasno-zielonej wełny na cienkich drutach, ściągaczką podwójną. Rękawy zaczynamy od góry na 20 oczek i przerabiamy, dodając po dwa oczka na początku i na końcu każdego rzędu. Gdy obwód zaokrąglenia rękawa jest równy obwodowi wcięcia na rękaw przerabiamy dalej, ujmując po jednem oczku z początku, co 4, potem co 6 rzędów. Ostatnie 20 cm przerabiamy bez ujmowania. Kołnierz zaczynamy od wewnętrznego brzegu na odpowiednią ilość oczek i wykonujemy tym samym ściegiem co rękawy. Po zeszyciu wszystkich części obrębiamy dół kamizelki.

* *

Jako drugi model podajemy lekką bluzeczkę o krótkich rękawach, odpowiednią na ciepłe, słoneczne dni w górach.

Materjał: 200 g czerwonej włóczki „Kot" marki „Trójkąt w Kole". Druty nr. 2. Dolną obwódkę przodu i pleców oraz obwódki rękawów wykonujemy ściągaczką pojedynczą, przyczem ponieważ włóczka ta jest bardzo cienka, najlepiej jest dać zrobić ściągaczkę na maszynie i gotową przyszyć do swetra. Dolna obwódka ma 6 cm. wysokości, obwódki rękawów po 3 cm. Przód, plecy, rękawy i kołnierz wykonujemy następującym ściegiem: po prawej stronie roboty przerabiamy jedno oczko wprost, nabieramy nitkę na drut, przerabiamy dwa oczka wprost, następnie podnosimy lewym drutem nabraną poprzednio nitkę i przeciągamy przez nią dwa przerobione ostatnio oczka (nakładamy nitkę na dwa następne oczka). Powtarzamy teraz cały układ od początku. W rzędach po lewej stronie roboty przerabiamy wszystkie oczka na wywrót. Uważamy przytem, aby nałożone na oczka nitki wypadały zawsze nad sobą. Formę nadajemy ujmowaniem, dodawaniem i zakończaniem oczek na brzegach roboty. Wszystkie części wykonujemy według schematu kroju podanego dla obu bluzek na 90 cm obwodu klatki piersiowej. Rękawy zaczynamy od góry i dodajemy jak opisano w poprzedniej bluzce. Kołnierz zaczynamy od wewnętrznego brzegu na długość 36 cm i przerabiamy na wysokość 8 cm. Gotowy kołnierz składamy wzdłuż na pół i wolnemi brzegami wszywamy w wycięcie przy szyi. Po zeszyciu wszystkich części przyszywamy ściągaczkę. Obie te bluzki są jak widać bardzo łatwe do wykonania a przytem efektowne i modne.

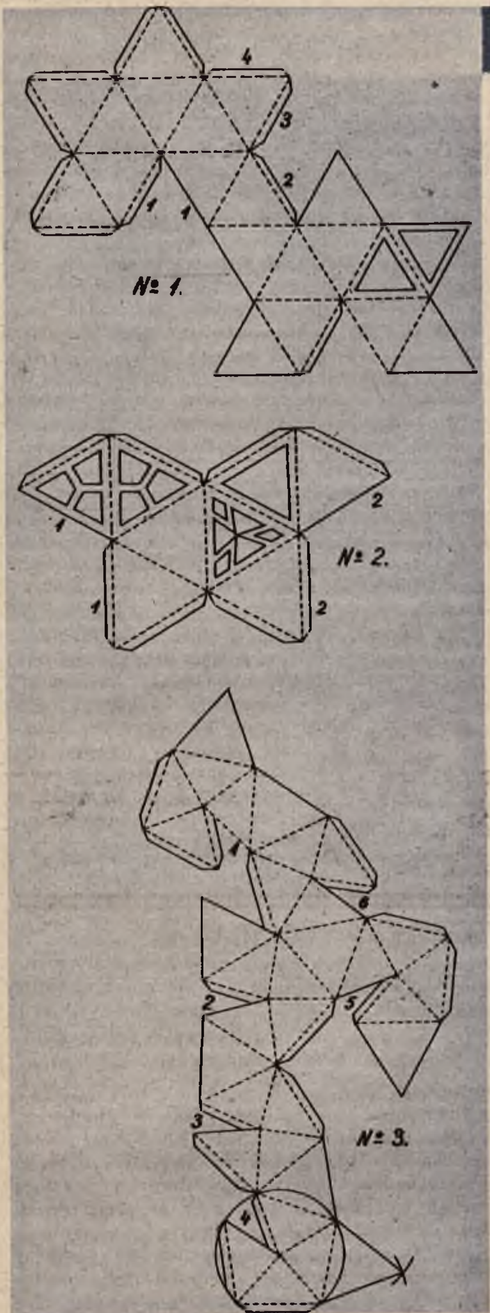
Mieczysława Drozdowska.



Schemat części kamizelki i pullowerka bez ściągaczek.

OZDOBY NA CHOINKĘ

WŁASNEJ ROBOTY



Schemat, uwidaczniający nam jak należy przyciąć karton celem sporządzenia choinkowych ozdób.

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia. Wielu amatorów robót ręcznych już teraz zabiera się do przygotowania ozdób na choinkę, znajdując w tem nietylko przyjemną rozrywkę, ale także wypoczynek dla nerwów, przeciążonych jednostronną pracą zawodową.

Z różnych materjałów i bezwartościowych odpadków powstają cacka, o prawdziwej nieraz wartości artystycznej, a bez porównania piękniejsze od szablonowych świecidełek, spotykanych w handlu. Pomysłowość, fantazja, poczucie piękna, mają tu szerokie pole do popisu.

Dla tych, co chcieliby skorzystać z pomysłów już wypróbowanych a jednak mało rozpowszechnionych, podajemy sposób wykonania ozdób z cienkiego kartonu i celofanu. Będą to bryły geometryczne różnej wielkości i kształtów, o ścianach pełnych lub przejrzystych, ozdobione wycinanemi wzorami i złocone płynnym bronzem.

Opiszemy najpierw kilka sposobów wykonania tej samej bryły, z tem, że podane wskazówki odnosić się będą także i do innych modeli.

Bryłą najłatwiejszą do wykonania jest ośmiościan równoboczny siatka Nr. 2).

Siatkę taką, dowolnie powiększoną, rysujemy na cienkim kartonie (kolorowy karton, używany na pocztówki), a następnie wycinamy zewnętrzne zarysy nożyczkami lub ostrym nożem, który prowadzimy wzdłuż przyłożonej linji. Linje kreskowane nacinamy nożem dość głęboko tak jednak, aby nie przeciąć kartonu na wylot. Następnie zaginamy dokładnie wszystkie krawędzie, przyklejamy od strony wewnętrznej uszko do zawieszania z nitki lub cienkiego druciku i sklejamy całą bryłę w porządku oznaczonym cyframi.

Jeśli bryła ma być przeźroczysta, wycinamy na wszystkich ścianach odpowiednie okienka, odwracamy siatkę na drugą stronę, smarujemy każdą ramkę syndetikonem lub gumą arabską i zaklejamy otwory celofanem.

Aby przygotować odpowiednie kawałki celofanu, wycinamy oddzielnie z kartonu odpowiednią ścianę bryły, kładziemy ten szablon na kilkarotnie złożony kawałek cellofanu i wykrawujemy nożem odrazu potrzebną ilość wycinków.

Podobnie postępujemy, gdy chcemy ozdobić bryłę wzorami. Wycinamy wzór oddzielnie i odrysowujemy go na każdej ścianie przy pomocy twardego, ostro zaciętego ołówka.

Do wycinania wzorów trzeba użyć bardzo ostrego noża.

Dla przykładu podajemy kilka takich wzorów na siatce Nr. 2.

Pamiętać przytem trzeba, że na wszystkich 8 ścianach jednej bryły ma być wykonany wzór, aby po złożeniu całość wypadła symetrycznie.

Trzeci sposób wykonania tej bryły będzie taki, że na okienka pokryte celofanem, naklejamy dodatkowo cienki, biały papier (będzie on przyklejony tylko do ramek z kartonu). Wszystkie barwy wystąpią wówczas bardzo wyraźnie.

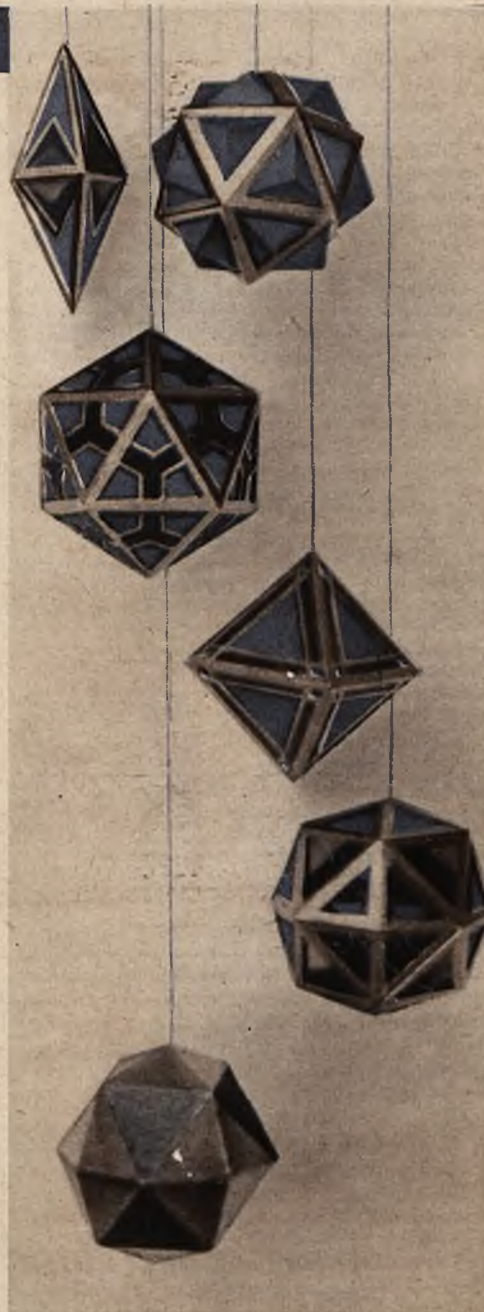
Do zaklejania okienek nadaje się także papier t. zw. „glansowany". Z jednej strony ma on barwną połyskującą powierzchnię, z drugiej zaś jest biały. W niektórych bryłach, np. w 20-to ścianie umiarowym (siatka Nr. 1) można w wycięte okienka wkeić małe ostrosłupy z kolorowego papieru.

Wykończone bryły malujemy bronzami. Bronzy w proszku rozpuszcza się w t. zw. „płynie do bronzu", który powinien mieć kolor oliwkowo-zielony i musi być bardzo rzadki. Płyn gęsty, brunatny, nie nadaje się.

Do malowania używamy pędzelka do wodnych farb, który można potem łatwo oczyścić w benzynie lub nafcie. Bryły malujemy częściowo po kilka sztuk równocześnie. Zanim dojdziemy do ostatniej, pierwsza wyschnie, co pozwoli na wygodne dalsze malowanie. Bronz rozrabiamy w małych ilościach, gdyż dość szybko gęstnieje.

Bryły o ścianach pełnych malujemy bronzami o kolorach kontrastowych. Np. złoty i fioletowy, złoty i niebieski itp. Przeważać powinien kolor złoty. Do brył o ścianach pokrytych wzorami używamy bardzo jasnego, złotego bronzu.

Przystępując do wykonania tych ozdób, trzeba zgóry postanowić, w jakim miejscu będzie stała choinka. Choinkę, ustawioną na tle okna ubieramy przeważnie bryłami przeźroczystemi. Przez odpowiednie dobranie kształtów, wielkości i barwy brył, można wywołać bajeczne efekty świetlne. Bryły o ścianach pełnych lub ozdobione wzorami z celofanu nadają się lepiej do przybrania choinki, stojącej w głębi pokoju na tle ściany. Efekt polega tu na odbijaniu światła.



A oto gotowe ozdoby, które dzięki swej barwności dodają świątecznemu drzewku wiele uroku.

W sposób wyżej opisany da się wykonać cały szereg pięknych ozdób. Niektóre bryły proste dają się łączyć ze sobą, przez co powstają nowe o pięknych kształtach. Np. na ściany małego sześcianu naklejamy ostrosłupy o dowolnej wysokości, przez co powstanie krzyż sześcioramienny. Jeśli krawędź podstawy ostrosłupów będzie mniejsza o kilka milimetrów od krawędzi sześcianu, otrzymamy krzyż, którego ramiona będą w środku ujęte jakby w ramkę złożoną z krawędzi sześcianu. Ramka ta może być złocona, a ostrosłupy z kolorowego papieru.

Pięknie wyglądają również dwudziesto- i trzydziestodwu-ściany (siatki Nr. 1 i Nr. 3).

Z braku miejsca nie opisujemy dalszych kombinacyj, których jest bardzo dużo. Ograniczyliśmy się tylko do kilku przykładów, ilustrujących technikę wykonania. **J. L.**

MODNA FRYZURA WYMAGA STARANNEJ PIELĘGNACJI.

Nowoczesna fryzura odbiegła daleko od praktycznej prostoty powojennych „garsonek". Na miejsce prostych paziowskich fryzur apodyktyczna moda wprowadziła kunsztowne i misterne uczesania z loków i ruloników, bardzo twarzowe i urozmaicone, a więc pozwalające na dostosowanie ich do każdych rysów i do każdego typu kobiecej głowy. Fryzury te mają wszelkie zalety, prócz jednej — dla kobiety pracującej może najważniejszej — praktyczności. Utrzymanie ondulacji i loków we wzorowym stanie przedstawia duże trudności, szczególnie jeśli brak nam czasu i — pieniędzy, na codzienne odwiedzanie fryzjera. Dlatego też widzi się tyle kobiet fatalnie uczesanych, z rozfryzowanemi kosmykami włosów, które wczoraj może jeszcze były ślicznemi lokami, a dziś, pod wpływem wilgoci i wiatru, przedstawiają wprost opłakany widok.

Coraz częściej słyszy się zniechęcone zdanie: „wiem, że modne fryzury są ładne, ale nie stać mnie na nie, gdyż nie sposób utrzymać je choćby przez parę dni bez pomocy fryzjera".



Pesymizm zupełnie niepotrzebny, każda bowiem z pań, przy pewnem staraniu i zręczności, może doskonale codziennie odświeżyć i uporządkować najkunsztowniejszą fryzurę. Trzeba tylko pamiętać o kilku zasadniczych rzeczach.



Pierwszym warunkiem dobrego uczesania jest dobrze i trwale zrobiona stała ondulacja elektryczna lub parowa (w zależności od gatunku włosów). Aby włos nie ulegał nadmiernemu wysuszaniu, pamiętajmy przed każdą trwałą ondulacją zażądać od naszego fryzjera kąpieli włosów w oliwie. Odżywia ona włos i chroni szczególnie wrażliwe jego końce od wysuszenia i kruszenia się, na co tyle pań skarży się po stałej ondulacji.

Przy myciu, zamiast płókania w occie, bezwartościowym dla włosów i nieprzyjemnie pachnącym, stosujmy płókanie sokiem wyciśniętym z całej jednej cytryny, bogatym w witaminy i nadającym włosom piękny połysk. Przy suszeniu ułożonych na mokro loków w specjalnym aparacie, nie dajmy się ponosić nerwom i zdobądźmy się na cierpliwość posiedzenia po wysuszeniu włosów jeszcze paru minut w aparacie, aby chłodne powietrze miało czas ostudzić skórę, spowodować zamknięcie się rozszerzonych porów i uspokojenie nerwów głowy. Gdy fryzura już gotowa, trzeba pokryć ją niewidoczną prawie siateczką włosową, którą najlepiej zdjąć dopiero nazajutrz rano. Włosy ułożą się pod nią i po zdjęciu będą się lepiej trzymać.

Do kąpieli należy wkładać zawsze gumową czapeczkę, gdyż nic tak nie rujnuje fryzury, jak wilgoć i woda. Przy czesaniu trzeba brać każdy lok z osobna do przeczesania i przeszczotkowania, poczem zwinąć go lekko na palcu lub zimnych żelazkach do fryzowania. Z początku nie jest to łatwe i zabiera sporo czasu, ale szybko nabywa się potrzebnej wprawy. Każdy lok musi być osobno ułożony i — jeśli pogoda jest wietrzna — przypięty maleńką szpileczką. Najtrudniejsze do utrzymania są krótkie loczki na karku. Najlepiej codzień wieczór nawijać je na gumowe ruloniki, a od czasu do czasu dać zrobić dodatkową trwałą ondulację tych włosów, które najprędzej odrastają.

Jeśli chcemy, aby fale trzymały się dobrze, najlepiej przy układaniu ich zwilżyć je odpowiednim płynem. Oto doskonała i łatwa do wykonania recepta: łyżeczkę ziarnek siemienia lnianego zalać szklanką wody i gotować przez 10 minut, poczem po ostudzeniu przecedzić. Płyn ten jest absolutnie nieszkodliwy, bezbarwny i bezwonny, a lekka jego kleistość ułatwia ułożenie trwałych i równych fal.

Wilgoć, deszcz i wiatr rujnują nasze loczki i psują staranny maquillage. Gdy udajemy się do teatru lub na proszony wieczór, osłońmy głowę i twarz lekkim, gazowym kapturkiem, którego wzór zamieszczamy obok.



Nie szczędźmy trudu i starania naszej fryzurze. Każda z nas wie, że nic tak nie podnosi jej urody i elegancji, jak ładne i dobrze utrzymane uczesanie włosów. Są one wszak jedną z największych ozdób kobiety i specjalne im się też należy staranie.

Ewa.

Dokończenie z str. 6-ej

nie. Nie sposób było ogarnąć wszystkiego, gdyż przepisów było tak wiele, a życie dworskie płynęło niesłychanie wartkiem tempem.

Najlepszym tego przykładem może być zabawny incydent, który wydarzył się już za panowania Ludwika XV.

W czasie balu dworskiego król zwrócił uwagę na eleganckiego, zamaskowanego pana, w stroju Don Quichota, tańczącego z żoną następcy tronu — zaszczyt dostępny jedynie dla najwyższych dostojników. Ludwik XV z rosnącem zainteresowaniem śledził eleganckiego tancerza, wyróżniającego się z pośród otoczenia składnemi i pełnemi wdzięku ruchami. Wreszcie zaintrygowany do najwyższego stopnia tajemniczą osobistością, poprosił jednego z dworzan, markiza de Tessé, aby dowiedział się, kim jest nieznajomy.

Tajemniczy jegomość zapytany przez de Tessé, nie podał swego nazwiska, wyjaśnił jedynie, że jest Hiszpanem i że w czasie pobytu markiza w Hiszpanji miał przyjemność podejmować go kilkakrotnie obiadem; podał nawet datę jednego z przyjęć i wymienił kilka osób, które brały w niem udział. Wyjaśnienia te wydały się markizowi de Tessé zupełnie wystarczające. Wrócił więc do króla i poinformował go, że to musi być jakiś wybitny grand hiszpański, u którego on bywał w Madrycie, nie może jednak przypomnieć sobie jego nazwiska. Wiadomości te nie zaspokoiły wcale ciekawości króla, kazał więc poprosić do siebie nieznajomego.

Wezwany zjawił się natychmiast i z głębokim uszanowaniem, należnem monarsze, bez zbytniej uniżoności jednak, a nawet z dużą łatwością, zamionującą obytych dworaków objaśnił, że zna doskonale markiza de Tessé, z którym był w tak serdecznych stosunkach, że markiz nigdy nie wydawał obiadów bez niego. Ludwik XV przekonany, że ma przed sobą jakiegoś znanego magnata hiszpańskiego, którego nazwisko napewno będzie wkrótce wiadome, nie pytał dalej, porozmawiał z nim jeszcze chwilę i poprosił wkońcu, aby nie przerywał sobie zabawy i wrócił do dawnej tancerki.

Nieznajomy podjął przerwany taniec z żoną następcy tronu. król zapomniał zaraz o całej sprawie, jeden markiz de Tessé głowił się nad rozwiązaniem zagadki. Przypominał sobie wszystkich swoich znajomych z Madrytu, nie znajdował jednak nikogo, z kim byłby w tak zażyłych stosunkach. Sprawa ta intrygowała go przez czas dłuższy. Wreszcie po pewnym czasie, kiedy już zrezygnował z jej rozwiązania, została wyjaśniona w sposób zupełnie nieoczekiwany.

Z okazji jakiegoś przyjęcia markiz wezwał kucharza, którego swego czasu przywiózł z Madrytu. Przypomniał sobie w czasie konferencji kulinarnej nierozwiązaną zagadkę, zapytał go, czy jako Hiszpan nie pomoże mu w jej rozwiązaniu. Kucharz odpowiedział, że nie przedstawia to najmniejszej trudności, musi jednak mieć pewność, że po wyjaśnieniu sprawa pozostanie nadal w tajemnicy. Otrzymawszy zapewnienie ścisłej dyskrecji, przyznał się, że tajemniczym tancerzem żony następcy tronu był on sam.

Ta nieprawdopodobna zupełnie historja [1]) wyda się możliwa, jeżeli się zważy, że w owych czasach każdy miał dostęp do Wersalu, za wyjątkiem żebraków i braciszków zakonnych.

Na zakończenie warto przytoczyć przemiłą anegdotę, luźno wiążącą się z tematem.

Papież Klemens X prosił Ludwika XIV o przysłanie mu na jakiś czas słynnego założyciela ogrodów Wersalu Le Nôtre. Król ogrodników przyjechał do Rzymu i natychmiast został przyjęty przez Papieża. Zamiast jednak uklęknąć i ucałować ze czcią bucik Jego Świątobliwości, Le Nôtre chwycił Papieża w objęcia, ucałował w oba policzki i zawołał z radością: „A dzień dobry Wielebny Ojcze! Jak Ojciec dobrze wygląda, jakże się cieszę, że widzę Ojca w dobrem zdrowiu!". To był chyba jeden z nielicznych wypadków tak poważnego uchybienia etykiety, które zostało przyjęte uśmiechem i nie wywołało żadnych przykrych następstw dla winowajcy.

[1]) Powyższa anegdota została podana przez księcia de Lnynes w jego pamiętnikach; za nim powtarza je Lenotre

Życie

TOWARZYSKIE I ARTYSTYCZNE

MINISTER DELBOS W POLSCE



W sobotę, dnia 4 bm., przybył do Polski minister spraw zagranicznych Francji, Yves Delbos, który został przyjęty na specjalnej audjencji przez P. Prezydenta R. P. na Zamku w Warszawie i odbył kilka donioslych rozmów z szefem polskiej polityki zagranicznej min. Beckiem. W czasie pobytu min. Delbosa w Warszawie odbył się w apartamentach Min. Spraw Zagran. raut, z którego reprodukujemy zdjęcie z (od lewej) min. Delbosem, ambasadorem Łukasiewiczem i min. Beckiem. Fot. „As".

»SPRAWY RODZINNE« NA SCENIE KRAKOWSKIEJ



Do teatru krakowskiego im. J. Słowackiego przybyła w ostatnim czasie na gościnne występy wielka tragiczka i znakomity reżyser, Stanisława Wysocka, która przygotowuje cykl przedstawień arcydzieł Wyspiańskiego. Wystąpiła również Wysocka w sztuce Gertrudy Jannings „Sprawy rodzinne", grając główną rolę. Kreacja Wysockiej jest oczywiście świetna. Wyróżnił się też nowozaangażowany Stefan Czajkowski (na zdjęciu).

Fot. Dr Azet — Kraków.

Z WYSTĘPÓW E. SOLARSKIEGO



Eugenjusz Solarski, jeden z najwybitniejszych młodych aktorów sceny polskiej, pozyskany został w bieżącym sezonie przez dyr. Warneckiego do teatrów miejskich we Lwowie. Solarski znany jest z występów niemal w całej Polsce, zawsze bowiem angażowany był przez czołowe sceny do wybitnych ról. Już w pierwszych latach swej pracy w teatrze krakowskim dublował wraz z niezapomnianym w tej roli Tadeuszem Białkowskim postać Orlątka w sztuce Rostanda. Dał postać głęboko liryczną. Z biegiem lat dojrzewał jego talent, predystynując artystę warunkami i techniką aktorską do ról komedjowych i groteskowych. W ubiegłym sezonie był świetnym Figarem w warszawskiem przedstawieniu „Wesele Figara". We Lwowie dał w ostatnich dniach świetną kreację w „Swatach" Gogola (na zdjęciu).

Fot. Van Dyck — Lwów.

MARJA STUART MALICKIEJ

Marja Malicka w teatrze swojego imienia w Warszawie wprowadziła obecnie do repertuaru młodzieńczą tragedję Juljusza Słowackiego „Marja Stuart" w reżyserji Z. Sawana. Malicka grała już raz Marję Stuart, ale w tragedji Schillera, postać zupełnie inną, niż w dramacie Słowackiego. Malicka dała teraz kreację głęboko dramatyczną, przytem świetnie mówiła wiersz Słowackiego. Partnerami Malickiej w dramacie Słowackiego są: K. Benda (Henryk). Sawan (Darnley), Ziembiński (Rizzio) i inni. Fot. Forbert — Warszawa.



NA FALI OGÓLNOPOLSKIEJ

Celina Kreyczi, znakomita poznańska śpiewaczka estradowa, znana z szeregu swych występów przed mikrofonem rozgłośni poznańskiej Radja Polskiego, wystąpiła ostatnio na fali ogólnopolskiej w audycji o „Andrzejkach", zorganizowanej i opracowanej przez Bożenę Czyżykowską. Audycja ta spotkała się z uznaniem radjosłuchaczy, a swym artystycznym poziomem i wykonaniem korzystnie wyróżniała się w programie ogólno-krajowym. Na zdjęciu: P. Celina Kreyczi.

Fot. Rubens — Poznań.



Gwiazdkowe niespodzianki

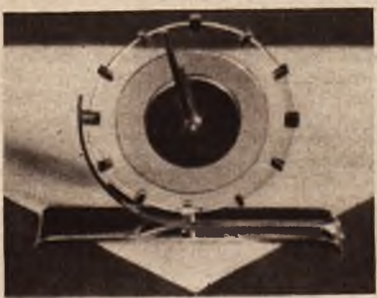


Już połowa grudnia, tego najdziwniejszego w roku miesiąca, który od początku do końca stoi pod znakiem... prezentów... Bo przecież u jego wrót czuwa dobrotliwy św. Mikołaj, biskup dzieci, tajemne źródło iluż radości w dzieciństwie wszystkich nas — a ostatniego tygodnia tego miesiąca zimy strzeże „gwiazdka", również uśmiech dzieciństwa, ale roztaczający się i na nas, „starsze pokolenie"...

Prezenty — to nie taka łatwa sprawa. Trzeba dokładnie wiedzieć, co i dla kogo — co zrobi przyjemność, co kłopot, co potrzebę rewanżu, nieraz bardzo trudnego... Właściwie dewizą powszechną powinno tu być znane powiedzenie francuskie, że „małe prezenty czynią wielkich przyjaciół".

Prezent bardzo wystawny, drogocenny, nieraz krępuje, nieraz wywiera zupełnie odmienny od zamierzonego skutek — zamiast zrobić przyjemność, sprawia przykrość... A nieraz drobiazg, ale dobrze i ze smakiem dobrany, drobiazg miły i pożyteczny zarazem, czyni naprawdę wielką przyjemność i istotnie zacieśnia więzy przyjaźni czy innego uczucia pomiędzy ofiarującym a obdarowanym.

Czas już więc, by się nad tem zastanowić. — Sklepy idą nam z pomocą, urządzając już wystawy świąteczne. Te wystawy — to pułapki i zasadzki. Wyrywają sobie nas one wzajemnie,



Elektryczny zegar o modnych kształtach posiada tę zaletę, że nie potrzeba go codziennie nakręcać.



Na lewo: Lornetka polowa będzie najmilszym podarkiem świątecznym dla turystów i sportowców.

Poniżej na prawo: Kalendarzyk, zawierający przepisy cocktailowe, ułatwia wybranie recepty na właściwy napój.



Powyżej: Kryształowy komplet na likier zadowoli każdego mężczyznę, posiadającego swój domowy „cocktail-bar".



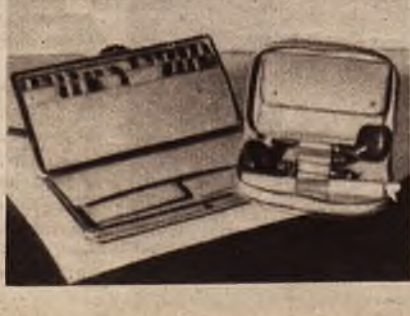




Na prawo: Estetyczny lichtarz oraz popielniczka ozdobią stół lub biurko w męskim gabinecie.



Na lewo: Przybory do pisania w skromnym współczesnym guście.



Poniżej: Etui do cygar i papierosów oraz skórzana torebka z błyskawicznym zamkiem na fajkę i przybory fajkowe.





Królestwem tych wszystkich, którzy urządzają przedświąteczny „shopping", są przedewszystkiem domy mody.

chwytają nasze oczy i wprost za rękę prowadzą do wnętrza sklepu, z którego już dobry kupiec tak łatwo nas nie wypuści... Nic więc dziwnego, że przed świątecznemi wystawami gromadzą się tłumy ludzi, namyślających się i rozważających: co?...

Grudzień — to złoty okres dla sklepów. Nieraz pomaga on zamknąć dodatnio bilans całego roku — roku wciąż jeszcze zwanego „kryzysowym"...

Stosunkowo najłatwiej jest wymyślić odpowiedni prezent dla swych najbliższych. Warto tutaj ostrzec przed jedną rzeczą: przed dawaniem „prezentu" w... naturze, t. zn. w tym wypadku w gotówce. Zdarza się bowiem często, że jakiś małżonek, wiedząc, że żona jego potrzebuje stu rzeczy i z każdej z nich się ucieszy — jej zostawia wybór i jako gwiazdkowy prezent wsuwa do koperty — banknot. Tak — to jest praktyczne, ułatwia bardzo rolę pana męża, który już nie musi suszyć sobie głowy, co sprawić małżonce. A jednak nie radzimy dawania takich „prezentów". W bardzo ciekawej książce „Kobieta dziełem mężczyzny" ,która ukazała się w Szwecji przed wojną ,jako anonimowa replika na dzieło Weiningera „Płeć i charakter" (i właściwie jedyna poważna replika kobieca na „filozofję" chorego, 24-letniego manjaka), autorka zwraca właśnie uwagę na tego rodzaju prezenty w gotówce, twierdząc, że są one pierwszą jaskółką, zwiastującą osłabienie się uczuć męża do żony.

I tak jest niewątpliwie. Kochanej bowiem osobie radość sprawia samo właśnie „łamanie sobie głowy", co kupić, chodzenie po sklepach, zastanawianie się i wybieranie — i radość sprawia potem sam fakt niespodzianki gwiazdkowej i reakcja obdarowanej osoby. Te wszystkie uczucia są właśnie termometrem uczucia zasadniczego...

Tak więc obecnie w połowie grudnia, zastanawiajmy się dobrze nad prezentami gwiazdkowemi — nad ich skomplikowaną filozofją, nad tem, by nie osiągnąć przez nie efektu innego, niż zamierzony — nad tem, by istotnie każdy z nich przyniósł nawet najdoroślejszym czar takiego uśmiechu, jaki prezenty złożone pod choinką niosły nam, gdyśmy byli jeszcze dziećmi i sądzili, że to wszystko przyniósł „aniołek"...

O, tak!... rola aniołka jest trudna — ale i wdzięczna zarazem...

As.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka - obliczone na 3–4 osoby.

Wobec zbliżających się Świąt, odstępujemy od zwyczaju podawania przepisów potraw znajdujących się na naszem menu tygodniowem i podajemy przepisy świąteczne ku wygodzie naszych P. T. Czytelniczek.

ZUPA RYBNA może być gotowana z głów ryb użytych na stół wigilijny, o ile zaś podana ma być ryba w całości, w takim razie gotuje się zupę z ikry, wątrobek, mleczka i t. d. Wszystkie te odpadki gotuje się z dodatkiem jarzyn i troszki korzeni, oraz posoloną, conajmniej przez godzinę, poczem przecedza się smak przez gęste sitko i zaprawia jasną zasmażką z łyżki masła i mąki, z którą to zasmażką zupa musi się przez chwilę gotować. Po sprawdzeniu zupy czy dość słona, dodaje się kostkę cukru, wkłada wybrane i pokrajane drobno mleczka i ikry. Zupę podaje się z kluseczkami francuskiemi lub grzaneczkami z bułki.

KARP W GALARECIE. Oczyszczonego, nasolonego — przynajmniej na dwie godziny przed gotowaniem karpia, układa się w specjalnej głębokiej wanience do ryb grzbietem do góry; do pyszczka wkłada mu się pionowo kawałek drewienka aby po ugotowaniu pozostał otwarty, celem przystrojenia go na półmisku pęczkiem zielonej pietruszki. Przed włożeniem ryby daje się na spód naczynia sporo różnych jarzyn, dwie duże pokrajane drobno cebule, trochę pieprzu, parę listków bobkowych 1 dkg utłuczonych migdałów, 4 kostki cukru i łyżkę masła. Po nalaniu wody tak, aby ryba była nią przykryta, zamyka się wanienkę pokrywą i stawia do gotowania. Gotuje się na wolnym ogniu przez godzinę, licząc od chwili zagotowania się wody, poczem odstawia, przestudza i wyjmuje rybę ostrożnie na półmisek, rosół zaś stawia się z powrotem na ogniu aby się silnie wygotował, t. j. nie powinno pozostać rosołu więcej ponad litr. Rosół wraz z dodatkami przelewa się przez płótno i zalewa nim rybę przybraną gałązkami pietruszki, plasterkami jaj, cytryny itp. Bardzo smaczną jest ta sama galaretka przetarta wraz z jarzynami przez sito, nie będzie jednak klarowna a ryba nie ładnie będzie wyglądać.

SZCZUPAK W ŚMIETANIE Z SARDELAMI. 5 do 6 sardelek rozciera się z 10 dkg masła na jednolitą masę. Oczyszczoną i wymytą rybę nacina się parę razy wzdłuż lub w poprzek grzbietu i w nacięcia te nakłada się przygotowane masło sardelowe. Ułożoną na brytwance rybę nakrywa się w miejsce pokrywy natłuszczonym papierem i piecze w piecyku przy częstem polewaniu wypływającym sokiem. Piecze się zależnie od grubości ryby 35—40 minut. Ryba jest gotowa, kiedy płetwa łatwo się od skóry odrywa. Pod koniec pieczenia polewa się rybę śmietaną rozkłuconą z łyżeczką mąki i poddusza jeszcze przez 5—8 minut. Rybę ułożoną na półmisku otacza się makaronem, przefasowany zaś sos podaje się osobno w sosjerce.

CIASTO NA DOBRĄ STRUCLĘ. 25 dkg sklarowanego masła uciera się na pianę z 5 żółtkami, łyżeczką soli i 30 dkg mączki cukrowej. Do wyrosłego rozczynu sporządzonego z 6 dkg drożdży, szklanki letniego mleka i małej ilości mąki dosypuje się 1½ kg suchej ogrzanej mąki, dodaje utarte poprzednio dodatki, 4 gorzkie migdały miałko utłuczone, skórkę otartą z cytryny oraz tyle letniego mleka aby ciasto nie było za wolne. Ciasto wybija się łyżką przez 40 minut, potem dodaje się trochę siekanych parzonych migdałów, rodzynek i skórek pomarańczowych, wybija jeszcze przez kilka minut i odstawia przykryte w ciepłe miejsce na godzinę aby rosło. Wyrość powinno do podwójnej objętości. Uformowane z ciasta strucle smaruje się rozkłuconem jajem lub masłem i piecze po powtórnem wyrośnięciu w gorącym piecyku przez godzinę. Ciasto to nadaje się również pod placki z serem lub zawijane strucle z makiem lub orzechami.

TORT ORZECHOWY Z KREMEM. 14 dkg cukru uciera się z 8 żółtkami na pianę, potem dodaje się 11 dkg mielonych orzechów laskowych i 10 dkg waniljowej czekolady rozmiękczonej na parze i uciera aż masa nabierze koloru jednolitego. Wkońcu dodaje się dwie łyżki zimnej wody i 3 dkg tartej bułki wymieszanej z płaską łyżeczką proszku do pieczywa. Pianę z 8 białek należy lekko wmieszać na samym końcu. Masę nałożoną do formy masłem natartej, piecze się powoli w niezbyt gorącym piecu. Wystudzony zupełnie tort (najlepiej na drugi dzień) przekrawa się na 4 płytki i przesmarowuje kremem. Na krem zagotowuje się gęsty syrop z 20 dkg cukru i paru łyżek wody. Ostudzony uciera się z 12 dkg deserowego masła i trzema żółtkami oraz 10 dkg czekolady, rozmiękczonej w cieple. Masę uciera się dość długo aż stanie się pulchną i lekką. Przełożony kremem tort smaruje się też po bokach i z wierzchu, poczem osypuje się go mielonemi orzechami, wymieszanemi z cukrem kryształowym. Tort ten ładnie też wygląda przybrany orzechami laskowemi, osmażanemi w cukrze.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Metalowa okówka, założona w sposób uwidoczniony na zdjęciu, powoduje silne umocowanie szczotki na drzewcu.

Z wystawy „Dima" w Zurychu. *Fot. Zygmunt Borzęcki. Zurych*

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 51 — **Grudzień** — 31 dni



NIEDZIELA **12** Aleksandra	Rosół z kremikiem.Sztuka mięsa z sosem chrzanowym.Pularda w garniturze z jarzyn.Krem karmelowy. Kolacja:Polędwica wieprzowa z sałatą.
PONIEDZ. **13** Łucji i Otylji	Barszcz z uszkami.Ziemniaki faszerowane kiełbasą.Pieczeń sarnia z ćwikłą i makaronem. Kruchy placek z jabłkami. Kolacja:Sałatka włoska.
WTOREK **14** Nikazego	Zupa jarzynowa purée z grzankami.Budyń Szpinakowy.Zrazy bite zwijane w grzybowym sosie z kaszką krakowską.Grzanki z marmoladą. Kolacja:Ruskie pierożki z śmietaną.
ŚRODA **15** Fortunata † S. d.	Krupnik na grzybach.Jaja w koszulkach w białym sosie z puree ziemniaczanem. Zając w naturalnym sosie z kluseczkami. Kompot. Kolacja:Kasza hreczana z kefirem.
CZWARTEK **16** Adeljady	Zupa grochowa z grzankami.Omlety z grzybami.Kaczka pieczona z czerwoną kapustą. Strudel z jabłkami. Kolacja:Pasztet zajęczy.
PIĄTEK **17** Łazarza † S. dn	Zupa powidlanka z ziemniaczkami.Marchewka z krokietkami z bułki.Linki lub dorsz w ostrym sosie musztardowym.Ryż wypiekany z jabłkami. Kolacja:Śledzie rolmopsy i ziemniaki w mundurkach.
SOBOTA **18** acjana † S. dn.	Kapuśniaczek.Makaron z serem. Ozór wołowy z sałatą z fasolki i czerwonej kapusty.Omlet biszkoptowy z konfiturą. Kolacja:Wędzone ryby bałtyckie.



HOCKI-KLOCKI

PRZYKRA POMYŁKA.



Inżynier: — Znów się znalazło to paskudne pudło na mojem biurku.

Służący: — Ależ, panie inżynierze, to jest próbka dynamitu! ***(Ric et Rac)***

Rozwiązania z Nru 49-go.

NA DWORZE KRÓLA RULONJI.

Zaczynając od króla, biesiadnicy siedzieli w kierunku ruchu wskazówki zegarowej: król Rulonji, księżna Bibabo, markiz Marabu, gen. Szabelkowska, hrabia Libola, królowa Rulonji, hrabia Pikabu, markiza Narabu, książę Bibao, hrabina Libola, gen. Szabelkowski i hrabina Pikabu.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

CÓRKI PANA WRÓBLA.

Pan Wróbel ma pięć córek: Walę, Wandę, Wisię, Werę i Wiktę. Każdej z nich dał na gwiazdkę po 20 zł. na prezenty. „Każda z was może wydać tylko jeden złoty dla samej siebie, a resztę (19 zł.) dla sióstr. Jednak żaden prezent, który kupicie, nie powinien kosztować mniej niż 2 zł. lub więcej niż 9 zł.", rzekł ojciec.

Gdy dziewczęta kupiły już wszystkie prezenty, wówczas okazało się, że:

1) Wszystkie prezenty kosztują tę samą ilość złotych.

2) Żadna z dziewcząt nie wydała tej samej sumy na prezenty dla dwóch swoich sióstr i żadna nie rozdzieliła w ten sposób pieniędzy.

3) Każda z dziewcząt otrzymała podarki (włączając to, co sobie kupiła za 1 zł.) na łączną sumę 20 zł.

4) Najkosztowniejszy prezent kupiła Wala dla Wikty.

5) Drugie z kolei najkosztowniejsze prezenty były kupione przez Wandę dla Wali i przez Wisię dla Wery.

6) Wera wydała najwięcej na Wisię, a Wikta wydała najwięcej na Wandę.

7) Wera wydała tę samą ilość pieniędzy na Walę, którą Wikta wydała na Wisię.

8) Wanda i Wisia wydały na Wiktę te same kwoty.

9) Wala i Wanda kupiły w tej samej cenie prezenty dla Wery.

Jaka jest wartość prezentu, który Wanda otrzymała od Wali?

„JEDZCIE WIĘCEJ OWOCÓW!"

Pan Kanarek przeczytał w gazecie o konieczności odżywiania się owocami i postanowił przejść na dietę owocową. Wszedł do owocarni, w której jabłka sprzedawano po 10 gr. za sztukę, gruszki po 15 gr. i banany po 20 gr.

Pan Kanarek postanowił wydać na owoce 2 zł. 40 gr. Jaką największą ilość tych *trzech* rodzajów owoców mógł kupić za tę sumę, a jaką najmniejszą?

LIST PANA KANARKA.

Pan Kanarek pisze list do swego syna: „Kochany Kaziku! Załączam Ci w tym liście 20 zł. Gdybyś listu nie otrzymał, natychmiast mi zatelegrafuj". Co czytelnicy sądzą o inteligencji ojca Kazika?

MIÓD I NAFTA.

Bańka z miodem waży 500 gr. Ta sama bańka z naftą waży 350 gr. Nafta jest dwa razy lżejsza od miodu. Ile waży pusta bańka?

PIERWSZA LEKCJA LOTU.



Matka do pisklęcia: — Czegóż się obawiasz? Przypomnij sobie Lindbergha, który nie zastanawiał się tak długo przed swoim pierwszym lotem. ***(Ric et Rac)***

W SALONIE SAMOCHODOWYM.



— Czy szanowny pan zaraz wsiądzie do swego wozu?

— Nie, proszę mi go zapakować!

Rys. Charlie.

Dokończenie z str. 7-ej

W. PAN ZBIGNIEW CZAJA — TORUŃ. Z zasady żadnych firm nie polecamy. Podawać możemy jedynie terminy aukcyj po otrzymaniu katalogów. Z jednem pytaniem nie radzimy w żadnym wypadku zwracać się do komisji dewizowej. Pisaliśmy wielokrotnie, że za bloki można dostać wszystko, czego tylko „filatelistyczna dusza" zapragnie.

„INTERNATIONAL EXCHANGE CLUB" W TURKU: Zwracamy.

WPAN MILAN SCHUDMAK — KRAKÓW: Cieszymy się bardzo, że dzięki ogłoszeniu w „Asie" nawiązał Pan korespondencję z Polakami z Legji Cudzoziemskiej. W miarę możności przytoczymy fragment listu przesłanego nam przez Pana.

WPAN WOJCIECH PECK — CIESZYN: Uwagi Pana są bardzo ciekawe, niemniej jednak, zdaniem naszem, cieszmy się raczej z tego, że w Polsce wydaje się jak najmniej znaczków! Wzorujmy się raczej na Anglji, aniżeli na Łotwie czy Litwie!

WPAN W. STRZAŁKOWSKI — BYDGOSZCZ: Bardzo dziękujemy — zamieścimy w następnym numerze.

LICYTACJE. W. Balasse, Bruxelles, 61, rue Du Midi. Prawie komplet Europy. Od 27 ub. m. do 6. bm.

KRAKOWSKIE TOWARZYSTWO FILATELISTYCZNE zawiadamia, że w tym sezonie posiedzenia odbywają się we wszystkie czwartki od godziny 19—22. Lokal „Szarotka", plac WW. Świętych.

Dokończenie z str. 8-ej

karbach kilkanaście bardzo często dość niesfornych małżonek. Wkracza w ich najbardziej intymne życie, od swej decyzji uzależniając nawet sposób ich odżywiania się, kwestje wychowania dzieci i naturalnie wszelkie sprawy natury miłosnej. Zwierzęta są również bardziej konsekwentne niż człowiek. Weźmy słynną zasadę niemiecką: „Kirche, Kinder und Küche". U pewnych egzotycznych ptaków nosorogich jest ta zasada zrealizowana w tym sensie, iż w okresie wysiadywania jaj, małżonek... zamurowywuje samicę w dziupli drzewa, pozostawiając w dziupli tylko otwór na dostarczanie pokarmów, które jej zresztą bardzo starannie donosi...

— A kwestja odwrotna, supremacji małżonki?

— Supremacji męża niechętnie ulegają wszystkie zwierzęta z rodziny małych i dużych kotów. Tutaj samiec, starający się o względy małżonki musi odebrać sporo policzków i to dobrze uzbrojoną łapą, zanim osiągnie względy uwielbianej. Są bardziej jaskrawe przykłady, jak u niektórych przedstawicieli stawonogów. U pająków, o połowę mniejszy od samiczki samczyk, z drżeniem zbliża się do wybranki, każdej chwili gotów do ucieczki, ryzykuje bowiem życie, jeśli trafi na jej zły humor. A nawet i po spełnieniu aktu miłosnego rzadko udaje mu się ujść z życiem. Nie można więc mówić, iż sadyzm i masochizm wynaleźli dopiero ludzie.

— A przecież — mówię — tak często w gwarze ludzi zakochanych używa się pięknych porównań ze świata zwierzęcego. Mówi się o „gruchaniu gołąbków", ukochaną zwiemy swoją „koteczką".

— Te porównania — mówi na zakończenie dr Żabiński — przeważnie grzeszą niezbyt trafną obserwacją. Miłość gołąbków nie jest tak sielankowa jak się nam wydaje z literatury. Tutaj samce toczą między sobą zaciekłe, nawet śmiertelne walki o samiczki. Zachowanie się samca względem małżonki bywa przeważnie wstrętne, brutalne i apodyktyczne. Także i „koteczka" winna być zupełnie inaczej rozumiana, niż się to dzieje. Widzi pan, jacy ludzie są przewrotni...

Romit.

To warto poznać..

NA SCENIE.

LWÓW W komedji St. Kiedrzyńskiego pt. „**Ten i tamten**" (Teatr Rozmaitości), rozgrywającej się w środowisku dorobkiewiczów powojennych główne role przypadły pp.: Szyjkowskiej (Nata), Paszkowskiej (Zosia), Szyndlerowi, Szymańskiemu, Więckowskiemu. Na wyróżnienie zasługują poza tem wykonawcy komicznych epizodów: Leliwa i Zabierzowska.

Teatr Wielki wystąpił ze sztuką Gogola pt. „**Swaty**", która daje pole aktorom do stworzenia zabawnej galerji typów. Natomiast akcja „Swatów" (będących przeróbką utworów beletrystycznych Gogola) jest raczej skąpa. Wyborny był Solarski w roli Koczkarewa. Dobre typy dali pp. Guttner, Chaniecka, Żmijewska i inni.

NOWE KSIĄŻKI.

„W SERCU KAUKAZU" ROMANA WOJTUSIAKA Autor, przyrodnik-zoolog, docent Un. Jag., opisuje swe wrażenia z podróży, którą odbył jako uczestnik pierwszej polskiej wyprawy alpinistyczno-naukowej w Góry Kaukazkie. Szlak wyprawy prowadził brzegiem morza Azowskiego aż do Ordżonikidze (dawnego Władykawkazu) u północnych stoków olbrzymiego łańcucha skał i lodowców, i dalej w głąb najwyższych partyj, zawartych między słynnymi szczytami Elbrus i Kaz, dwóch wygasłych wulkanów. Opisy uciążliwej wędrówki wśród przepaścistych wąwozów, huczących wodospadów, spienionych rzek, wśród śniegów i lodów, ilustrują liczne zdjęcia, dokonane przez autora. — W tok opowieści podróżniczej wplata dr Wojtusiak zajmujące wiadomości o krajach i ludach, wśród których poruszali się polscy podróżnicy, o zwyczajach, jakie tam panują, o faunie, florze i krajobrazie tego górskiego świata.

„ZASADY FOTOGRAFJI DLA POCZĄTKUJĄCYCH J. ŚWITKOWSKIEGO Jest to nowe (szóste) wydanie znanego podręcznika, — gruntownie zmienione. Na przeróbkę tę wpłynęły liczne doświadczenia, poczynione przez autora w czasie jego działalności pedagogicznej jako nauczyciela fotografiki na uniwersytecie lwowskim. Szczególnej zmianie uległy partje, odnoszące się do właściwości emulsji, ich barwoczułości i techniki wywoływania, oraz metod sporządzania odbitek pozytywnych. Ponadto uwzględnił autor w swej książce dział nowy, dotychczas niemal zupełnie pomijany, a mianowicie — dział estetyki fotograficznej. Podał w nim najważniejsze zasady kompozycji obrazu, ilustrując je wykresami i przykładami zdjęć różnych autorów.

„HAŃBIĄCY CZYN POR. HERBERTA" JANUSZA MEISSNERA Cykl nowel lotniczych, zawarty w tym tomie, znakomicie wprowadza czytelnika w rzemiosło pilota. Fachowość w ujmowaniu wydarzeń, emocjonujące powikłania fabularne dodają uroku tym opowieściom, które każdy przeczyta z przyjemnością.

Tytułowa nowela była przed kilku miesiącami drukowana w „Asie". Opowieść pt. „Na fali 925 metrów" opiera się na przeżyciach radjotelegrafisty, prowadzącego samoloty „na goniometr". O emocjach skoku spadochronowego mówi Meissner w „Kaprysie jedwabnego przyjaciela". Interesujące szczegóły, dotyczące psychiki pilota, znajdujemy we wstępie pt. „O moich bohaterach".

„ZBIEG" JERZEGO SIMENONA. Powieść młodego pisarza francuskiego p. t. **Zbieg** przynosi ciekawe studjum charakteru przestępcy, który wydostawszy się z miejsca zesłania, rozpoczyna we Francji nowe życie jako nauczyciel gimnazjalny. Żeni się, zostaje ojcem. Jest spokojnym obywatelem, ale J. P. Guillaume'a nurtuje pragnienie wyrwania się z tego środowiska. Chęć ta początkowo przejawia się nagłemi nierównowościami w zachowaniu, wyskokami humoru... Wkońcu „zbieg" ucieka z domu rodzinnego. Ogarnięty z trwogą przed zdemaskowaniem, czuje, że ziemia pali mu się pod stopami. Przemianę Guillaume'a odmalował autor zajmująco i z dużym temperamentem pisarskim.

„JĘZYK POLSKI" ZENONA KLEMENSIEWICZA. Praca ta przynosi w formie przejrzystej i przystępnej najważniejsze wiadomości z historji języka polskiego; następnie autor omawia różne rodzaje stylu, a wreszcie społeczną rolę języka. Liczne przykłady z dziedziny przemian językowych oraz z dziedziny stylistyki uplastyczniają wybornie wykład autora. Część historyczną pracy dr Klemensiewicza, ukazującą źródła zapożyczeń wyrazów, jak również rozdział o ekspresji języka należałoby zalecić wszystkim, stykającym się w jakikolwiek sposób ze sztuką słowa.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 12 grudnia.

9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła w Janowie.
12.03 Poranek symfoniczny z Wilna.
13.10 Fragment powieści „Wierzby nad Sekwaną" J. Wiktora.
13.30 „Muzyka obiadowa".
14.45 Audycja dla wsi.
15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci.
16.05 Schuman i Bizet dzieciom — koncert.
16.45 „Anielcia i życie" — powieść mówiona.
17.00 „Podwieczorek przy mikrofonie" (z Wilna).
19.05 Słuchowisko p. t.: „Górnik to zuch i chwat".
19.35 „Słynni wirtuozi" — IX audycja.
21.15 „Gwiazdka się zbliża", skecz.
21.30 „Zastępstwa urlopowe" — wodewil radjowy.
22.00 „Opowieść o Mozarcie" — V audycja

Poniedziałek, 13 grudnia.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 „Od warsztatu do warsztatu": „Pierniki toruńskie".
15.45 „Z pieśnią po kraju".
16.15 Orkiestra wojskowa.
17.00 „Drapacze nieba" — pogadanka.
17.15 Recital śpiewaczy Maniny Karklin.
18.10 Audycja gruzińska (z Poznania).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Audycja strzelecka.
19.30 „Dyskutujmy": „Jak wychować dziecko na samodzielnego człowieka?"
20.00 Koncert rozrywkowy.
22.00 Koncert symfoniczny.

Wtorek, 14 grudnia.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Pieśni bez słów (płyty).
15.45 „Król bohater, żakiem" — aud. dla dzieci starszych.
16.20 „W muzykalnym domu".
17.00 „Radjokronikarz w Helsinkach" — pogadanka.
17.15 Koncert kameralny.
17.50 „Sen zimowy zwierząt i roślin" — pogadanka.
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 „Nieśmiertelne książki" — VI wieczór.
19.30 Polska twórczość chóralna — III audycja.
20.00 Utwory Stanisława Niewiadomskiego (ze Lwowa).
21.00 Muzyka lekka i taneczna.
2.15 Ludwik van Beethoven: Koncert fortepianowy e-moll.

Środa, 15 grudnia.

11.15 Audycja dla szkół
11.40 „Kaprysy" Paganini'ego — (płyty).
15.45 „Grudzień" — pogadanka.
16.15 „W panteonie muzyki" — wizyta w Lipskiem Muzeum Instrumentów — reportaż.
17.00 „Radjo a obrona państwa" — odczyt.
17.15 Mniej znane balety — koncert.
17.50 „Zniesławienie i obraza" — pogadanka.
18.10 Lekkie melodje skrzypcowe, (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 „Jak to Stefan Okoła poszedł do gimnazjum" — obrazek z powieści.
19.20 Pieśni dziecięce Tad. Mayznera — koncert.
19.35 „O determinizmie" (odczyt II-gi).
20.00 Współcześni kompozytorzy operetkowi (płyty).
21.00 Koncert chopinowski.
21.40 Wieczór literacki poświęcony pamięci B. Leśmiana, w opracowaniu Juljana Tuwima.
22.10 „Kalejdoskop", audycja rozrywkowa.

Czwartek, 16 grudnia.

11.15 Mazowsze w poezji Lenartowicza i w mazurkach Chopina. Poranek dla młodzieży szkół powszechnych.
11.40 Śpiewa Marta Eggerth — (płyty).
15.45 „Wędrówki muzyczne" — audycja dla młodzieży.
16.)5 Pieśni z towarzyszeniem wiolonczeli — koncert.
17.00 Reportaż z Muzeum Towarzystwa Przyj. Nauk (z Wilna).
17.13 Muzyka taneczna.
18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej.
19.00 Słuchowisko p. t.: „Służbista".
17.30 Muzyka w masce.
20.00 Wiązanka melodyj ludowych szwedzkich „Noce letnie". — Transmisja ze Sztokholmu.
20.30 Rozstrzygnięcie Konkursu Radjowego „Kurjera Porannego".
21.00 Koncert popularny w wykon. Wileńskiej Orkiestry.
21.45 Józef Piłsudski o Gabrjelu Narutowiczu.
22.00 Koncert poświęcony twórczości Karola Szymanowskiego. Trans. z Warsz. Konserwatorjum. (Audycja II).

Piątek, 17 grudnia.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Fragmenty ze suity „Pinie rzymskie" Respigniego — (płyty).
15.45 „Nad albumem znaczków pocztowych" — aud. dla dzieci.
16.15 Łódzka Orkiestra salonowa.
17.00 „Jaworowscy smyczerze" — feljeton.
17.15 Hiszpańskie pieśni historyczne — koncert.
18.10 Wieczorne nastroje (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Komedje A. Fredry, wieczór III: „Damy i huzary".
0.00 Koncert europejski z Helsinek.
21.15 „Mąż pod drzwiami" — operetka w 1 akcie Offenbacha.
22.20 Recital fortepianowy Pawła Kowalewa.

Sobota, 18 grudnia.

11.15 Audycja dla szkół.
15.45 Słuchowisko dla dzieci „Generalna próba szopki".
16.15 Koncert popularny w wyk. Twa mandolinistów „Kaskada".
17.00 „Mody i uroszczenia pań rzymskich" — feljeton.
17.15 Koncert solistów.
18.15 Piosenki w wyk. Grety Keller (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
20.00 Wieczór Adolfa Sonnenfelda, koncert.
21.45 „Dobij" — skecz.
22.00 Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.